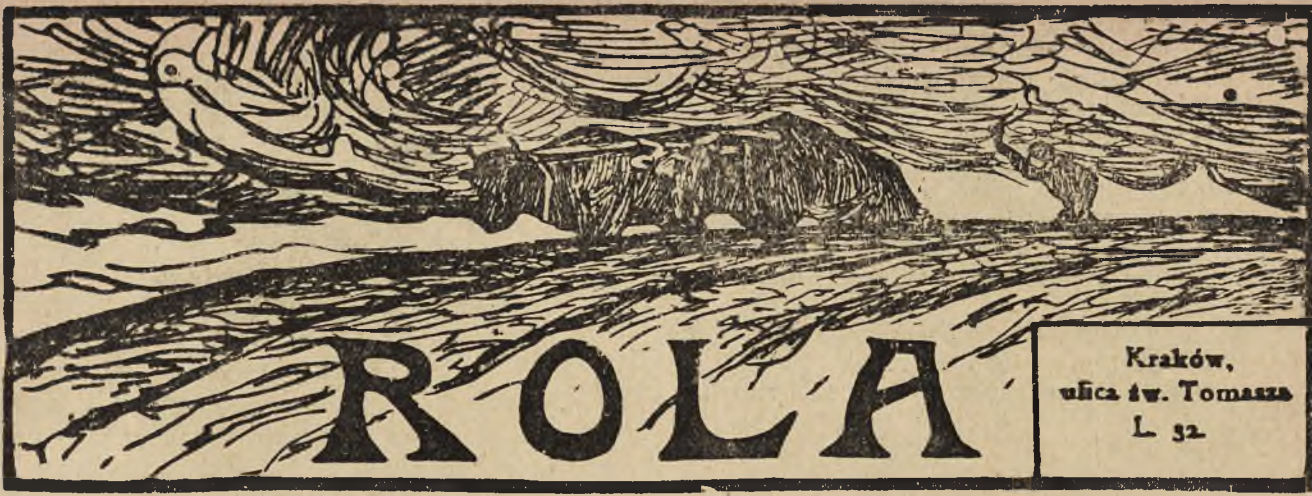
Numer 50. Nal. poczt. opł. ryczałtem. Dnia 15 Grudnia 1929



Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ROLA

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Nic tak strasznego.

Zosia zerwała z narzeczonym i przyrzekła rękę innemu. Dowiedział się o tem pierwszy i posłał jej przez posłańca list następującej treści:

Niewierna, a zawsze najdroższa dla mnie Zosiu! Boleść moja zbyt wielka! Znieść mi jej dłużej niepodobna, żyć bez ciebie nie mogę, więc umrę przez ciebie, przez twą złamaną wiarę. Gdy te słowa czytać będziesz, ja już żyć przestanę. Ostatniem mojem życzeniem jest, byś się zajęła moim pogrzebem. Bądź zdrowa i żegnaj mi.

Odczytawszy ten list nie bez wzruszenia, Zosia spostrzegła, że posłaniec stoi jeszcze.

— Czy macie jeszcze co powiedzieć? — zapytała posłańca.

— Ten pan, proszę pani, kazał mi czekać na odpowiedź.



W sądzie.

Sędzia: Już piąty raz widzę cię tu łotrze w sądzie!

Złodziej: Cóż tak nadzwyczajnego, pan sędzia siódmy rok siedzi tutaj, a ja nic się nie dziwię.



Na kolei.

— Proszę o przedział drugiej klasy.

— Czy dla palących?

— Nie panie, dla jadących do Lwowa.

Na nowej służbie.

— Wiesz co Janie, ten nasz pan dziedzic musi być bardzo roztargniony. Już ze trzy razy wziął mnie za panią dziedziczkę i czule uściskał!



Pewna swego.

Lekarz: Ile lat liczy łaskawa pani?

Pacjentka: Ach doktorze, i tak mi pan nie uwierzy!



Poezja i proza.

Podlotek (w oknie śpiewa): „Gdybym ja ptaszkiem była, dwa skrzydełka miała...“

Brat (medyk): To wtedy, byłabyś z pewnością gęsią!



Różnica.

Jaka jest różnica między mężem a redaktorem?

Redaktor zna wszystkich swoich współpracowników!

Prenumeratorów, nadsyłających nam zmiany adresów swoich prosimy o podawanie także swojego dawnego adresu pod jakim „Rola“ przychodziła, abyśmy mogli dawny adres wykreślić a przytem nowy wpisać.

Numera zaległe można nabywać w Administracji „Roli“ za nadesłaniem 30 gr. za numer. Można też nadsyłać znaczkami poczt. w liście.

Numer 50. Rok XII. Kraków dnia 15 Grudnia 1929



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1930: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy. Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli«: **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406 301 Konto pocztowe w Pradze czeskiej: Praga Pocz. Urząd Czek 500.868.

Ś. p. Ferdynand Kuraś.

Gdyby umarł człowiek tej miary, co ś. p. Ferdynand Kuraś, ale zajmujący jakieś wybitniejsze stanowisko w hierarchji społecznej, pogrzeb jego stałby się jakąś wielką manifestacją narodową, wygłoszonoby szereg mów żałobnych, napisano dziesiątki nekrologów. Śp. Kuraś żył cicho i skończył swój żywot spokojnie, bez rozgłosu. Nad grobem Jego łzy żałości wylali najbliżsi, rzucili na trumnę garstkę tej polskiej ziemi, którą śp. Zmarły tak bardzo ukochał i rozeszli się do domów, aby dalej borykać się z twardym losem, jaki przypadł im w udziale.

Zdawałoby się, że wszystko skończone. A przecież tak nie jest. Twardy los, jaki przypadł śp. Kurasiowi w udziale, Jego mocowanie się z przeciwnościami będą przykładem dla potomnych, a Jego przecudne piosnki, których tyle wyśpiewał dla ludu polskiego, będą wyrabiać w ludzie tym tężyznę moralną i wieść go ku szczytom myśli narodowej.

Twarde było życie śp. Kurasia, bo i jakżeż nie miało być twarde. Rodzice Jego byli biedni, a rodzina liczna. Wprawdzie trzech braci Ferdynanda i dwie siostry zmarły jeszcze w dziecięctwie, ale pozostało jeszcze trzech chłopaków, z których późniejszy poeta był najstarszy. A na wyżywienie tylu osób rodzice Jego posiadali tylko ćwierć morga ziemi, pozatem nic więcej: byli bezdomni. Sytuację tej licznej rodziny pogarszało jeszcze to, że ojciec miał skłonność do kieliszka, to też choć posiadał umysł niepośledni, życie matki i dzieci było jednem pasmem udręczeń. Wskutek tego mały Ferdek najchętniej przebywał u dziadków na Kępie, gdzie czas trawił na uganianiu pośród pól i łąk, na swawoleniu z rówieśnikami wśród wysokich szuwarów w wyschniętem miejscami dawnem łożysku Wisły i na płoszeniu błotnego ptactwa. Po śmierci babki powrócił do rodziców w Sobowie, gdzie ojciec jego spełniał obowiązki pisarza gminnego, pobierając za to 70 reńskich rocznie wynagrodzenia.

W roku 1878, kiedy późniejszy poeta skończył 7 lat życia, zaczęła się jego edukacja w szkółce miejscowej. Nie trwała ona jednak długo, gdyż Ferdynand uległ nieszczęśliwemu wypadkowi, który go pozbawił nazawsze jednego z najcenniejszych skarbów człowieka, jakim jest słuch. „Pewnego wiosennego dnia — opowiada Kuraś w swych pamiętnikach p. t. „Przez ciernie żywota“ — rodzice moi, wybierając się do miasta, polecili mi, bym podczas ich nieobecności dorzucił krowie w południe paszy. Wykonując ich polecenie, poszedłem do stodoły. Wszedłszy do niej, wrótnie zostawiłem otwartą. W chwili, gdy z sianem wychodziłem, gwałtowny wicher uderzył we wrótnię z taką siłą, że zatrzaskując się, zapora uderzyła mnie w skroń tak mocno, aże zapora się oderwała i wraz ze mną na ziemię upadła. Mimo tak gwałtownego uderzenia z łatwością podniosłem się z ziemi, a co dziwniejsze, ani bólu, ani też ogłuszenia nie czułem. Od tego atoli dnia począłem szybko na zdrowiu upadać, wreszcie rozchorowałem się tak ciężko, że o mojem wyzdrowieniu wszyscy zwątpili. Młoda natura przecież przemogła i powoli wracałem do sił“.

Choroba jednak nie odrazu pozbawiła Ferdynanda słuchu; zanikał on stopniowo, a brak wszelkiej opieki lekarskiej doprowadził nieszczęśliwego chłopca do zupełnego kalectwa. Za utratą słuchu postępował powoli zanik mowy.

Mimo upośledzenia fizycznego chłopiec nigdy czasu nie marnował. Rodzice napędzali go do roboty; musiał pomagać matce w robieniu porządków, mleć w żarnach, robić w polu i t. p., a jedynie w wolnych chwilach od pracy brał książkę lub tabliczkę z rysikiem i oddawał się nauce.

W rok po wypadku ojciec jego otrzymał posadę gajowego w Świerczynie w b. Kongresówce. Tam zi-

mą z ojcem i matką chodził do lasu, aby ścinać uschłe drzewa, rąbać je i układać w sągi, a kiedy wracał do domu po pracy, lub w niedzielę i święta wyciągał z komórki stare, drukowane kartki gazet i odczytywał, a nie mogąc się zapomocą mowy z nikim swojemi wrażeniami podzielić, wykradał ojcu świstki papieru i spisywał na nich to, co w głębi duszy Jego nurtowało.

I to były początki działalności Jego twórczej, a śmiało można powiedzieć, że nieszczęście Ferdynanda stało się szczęściem dla społeczeństwa polskiego, dla którego do ostatnich chwil życia swego piórem tak wydatnie pracował.

Ojciec Ferdynanda nie utrzymał się długo w Świerczynie; po dwóch latach musiał się przenieść do sąsiedniej osady Zakrzówka, gdzie była fabryka cukru, tu młode chłopię za czterdzieści groszy dziennie pracowało, przebierając ziemniaki, póki znów los nie przerzucił go w Chełmszczyznę, gdzie był świadkiem prześladowania Polakow przez Moskali i skąd w czas niedługi wraz z rodzicami musiał uchodzić w strony rodzinne.

Po powrocie nad ukochaną Wisłę, tym razem do Tarnobrzega, ojciec odddał chłopaka do terminu. — Choć Ferdynand nie miał zamiłowania do szewstwa, musiał się zgodzić z wolą ojca i rozpoczął praktykę u starozakonnego majstra i tam wyuczył się swego zawodu, który był podstawą całego jego późniejszego bytu. Siedząc całymi dniami nad kopytem, nie mógł z nikim dzielić się swojemi myślami, to też przechowywał je w głębi serca, a kiedy ukończył pracę, myśli te przenosił na papier i wysyłał w świat, aby krzepiły jego braci włościan, aby uczyły ich kochać Ojczyznę ich i czekać, póki nie zrzuci z siebie krępujących Ją więzów i nie uzyska pełnej swobody. Przez całe swe życie wierzył w Zmartwychwstanie Polski i wiarę tę wpajał w serca swoich współbraci. We wszystkich pismach ludowych ukazywały się te przepiękne Jego utwory, a wiele z nich zamieściła na swych łamach przed wojną „Rola“, której był zawsze wiernym przyjacielem.

Imię utalentowanego poety było coraz bardziej znane w Polsce, a do jakiego stopnia, to on sam wówczas o tem nie wiedział. Nie tylko znali go ci, dla których pisał, ale zainteresował się nim i człowiek tej miary, jak Stanisław hr. Tarnowski, który niejedną paczkę książek mu nadesłał, aby poeta mógł pogłębiać swą wiedzę i pracować dla dobra społeczeństwa. Za staraniem młodego i ruchliwego działacza oświatowego w Tarnobrzeskiem w r. 1905 ukazały się wiersze Kurasia w wydaniu książkowem p. t. »Z pod wiejskiej strzechy«, które imię poety jeszcze bardziej rozsławiły.

Ludzie dobrej woli chcieli przyjść z pomocą bardowi chłopskiemu, to też za ich staraniem dostał najpierw skromną posadę w redakcji „Gońca Pokuckiego“ w Kołomyji, a później posadę djetarjusza w tamtejszem starostwie. Wydatki jednak na utrzymanie w Kołomyji przekraczały jego szczupłe dochody, tak że o pomocy pozostawionej w Tarnobrzeskiem rodzinie nie mogło być mowy. Powrócił więc do Wielowsi, skąd codziennie odbywał 10 kilometrową podróż do Tarnobrzega, w którym uzyskał posadę w Wydziale pow.

Po wojnie śp. Kuraś nabył ośrodek gospodarczy we wsi Karwin w Kieleckiem, gdzie przepędził ostatnie lata swojego życia i gdzie w dniu 30 listopada br., licząc lat 58, pożegnał się na zawsze z tym światem.

Śpij, Przyjacielu, w tej ziemi, którą tak ukochałeś, a imię Twoje niech nietylko u braci siermiężnej, ale u całego narodu nie okryje się nigdy pleśnią niepamięci.

Antoni St. Bassara.

HENRYK RÓŻYCKI.

SMOK.

Powieść z zamierzchłej przeszłości na tle legendy wawelskiej.

Chwilę po zniknięciu Normandów pomiędzy zgromadzonymi panowała cisza.

Jedni pogłądali na drugich, jakby szukali rady. I dopiero po długiej chwili, z początku nieśmiało, potem coraz głośniej poczęto się odzywać, wreszcie zapanowała ogromna wrzawa.

— Gorze nam! — wołał jeden i darł z rozpaczy włosy na głowie.

— Rozesłać wici! — wołał drugi.

— Wybrać władykę!

— Uciekać do Tynu, bo za chwilę tu wrócą, by nas wyrżnąć! — darł się jakiś więcej od innych tchórzliwy.

— Zostać i radzić! — uspakajał jakiś starzec i ze złości cisnął czapkę o ziemię.

Jedni przyskakiwali do drugich z pięściami i wygrażali sobie, inni znowu stanęli na boku i dumali.

Sławoj godził, uspakajał, zachęcał, by przerwane obrady podjęto, a widząc, że do ładu nie dojdzie, dobył siekierkę zza pasa, uciął cienką, długą gałąź ze świętego dębu, nogą przystąpił cieńszy koniec i ukręcił wić, którą zwinął we wianek i podał spokojnie stojącemu sąsiadowi.

Ten, odebrawszy wić, krzyknął co sił:

— Starża! — i podał drugiemu.

Na zawołanie rodowe w jednej chwili zrobiła się cisza.

Wić szła z ręki do ręki, a każdy podając ją sąsiadowi, wołał:

— Starża!

Podawana dotarła do ostatniego uczestnika obrad, Chrudosza, syna starego władyki Juga, który podniósł złożony obok swego głazu łuk, na oszczep nasadził wić i z okrzykiem wojennym, pędem, znikł pomiędzy drzewami, by ją nieść do okolicznych słobód.

Wici posłane!

Od tej chwili nieograniczona władza spoczywa na głowie plemienia i wszyscy jego rozkazy wykonywać muszą.

Lecz kto śmiał?.... Kto sobie przywłaszczył władzę, której wiecem nikomu nie powierzono?

Tu i ówdzie odezwał się pomruk niezadowolenia.

Sławoj poznał niebezpieczeństwo, lecz nie tracąc przytomności, zawołał:

— Zająć miejsca i wybrać władykę!

— Kto śmiał wić wici z własnej woli? — dały się słyszeć głosy.

— Ja! — rzekł z mocą Sławoj i głosem, w którem brzmiał rozkaz, dodał:

— Zająć miejsca i rzucić swe głosy!

Bez oporu usiedli i każdy ujął czarny, a w drugą biały kamyczek i czekał, aż Wilja z dziewkami przyjdzie z urną, do której wrzuci z nich jeden.

Nastała cisza, że tętna serc swoich słyszeli.

Mgła drobinami wodnemi siekła im twarze i moczyła ubrania. Krople wody padały z liści z głośnym packaniem na ziemię, a zdala pomiędzy drzewa dolatywał tajemniczy szelest i zataczał krąg, jakby ich opasywał pierścieniem.

Naraz w Tynie ozwał się pies.

Z początku nadszczekiwał wolno, potem ujadał coraz zajadlej, aż nagle zawył przeraźliwie i umilkł.

— Co to znaczy — pytali jeden drugiego.

Leciutki wiater powiał od wschodu, wstrząsnął gałęziami drzew, otrząsając na nich krople rosy, przyniósł jakieś głosy.

Zawołanie rodowe wyraźnie doleciało ich uszu. Zbledli.

Wilja przystanęła chwilę zasłuchana w dolatujące głosy i myślała:

— Jeszcze jeden odda swój kamyk a władyka obrany!

Widziała, że wszyscy białe wrzucali kamyki.

— Prędzej, prędzej dziewczyno, dawaj urnę! — wołano.

Wilja postąpiła krok naprzód. I naraz zadrżała, opuściła urnę na ziemię, która padając, rozprysła się w drobne kawałki, a ją porwał wir ciał ludzkich i rzucił w bok.

— Starża! — rozległ się przerażający okrzyk.

Popatrzała wkoło.

Z lasu wyłaniały się jedna za drugą postacie groźne, zaszyte w skóry i otaczali ich ze wszystkich stron, a równocześnie grad strzał wypuszczany celnie leciał i ranił boleśnie starców.

Naraz ugodzona w ramię upadła zemdlona.

W okropnym popłochu jeden na drugiego cisnęli się Starżowie do swej broni, którą na czas obrad złożono obok siedzeń, a strzały normandzkie świstały i ryły się w ich bezbronne ciała.

Pierwszy Sławoj wyciągnął zza pasa siekierkę i rzucił się na napastników. Lecz nim zdołał zadać cios, już legł rozciągnięty na ziemi pod uderzeniem strasznego miecza.

Za nim wypadł z oszczepem Mścisław z Krętyna, lecz i ten po krótkiem pasowaniu się z Normandem legł z rozszczepioną głową, potem synowie Juga, Wsewołod i Zaboj, przeszyci prawie na wylot strzałami z łuku, runęli na ziemię, a za chwilę położyła się pokotem na nich reszta starców i władyków opola, jakby przez żniwiarzy podcięte na roli zboże.

Okrzyki zwycięskich Normandów i jęki konających starców wstrząsnęły powietrzem.

Odłożyli łuki i krótkiemi nożami dobijali rannych.

Seming wyszedł zza drzewa i łowił uchem jęki konających, bacząc pilnie, aby żadnego nie minęło żelazo.

Nagle spostrzegł opodal na mchu kobiece szaty i przystąpił bliżej.

Zemdlona, ze sączącą się raną krwią na ramieniu, leżała przed nim dziewica, a złociste jej sploty warkocza nurzały się w przepojonym krwią błocie.

Pod cienką parcianką uwydatniały się wyraźnie piękne kształty jej ciała, pulchne, jakby utoczone ręce i nogi, a blada z przymkniętemi powiekami twarz wyglądała, jakby pogrążona we śnie.

Seming poruszył szczękami, oczy zabłysły mu lubieżnie. Pachołek z okrwawionym nożem przybiegł do leżącej i zamierzył się, by utopić w jej sercu żelazo.

— Zaczekaj! — rzekł Seming.

Pachołek opuścił rękę, a Seming patrzał na nią chwilę, coś rozważał w głowie, wreszcie machnął ręką i rzekł:

— Ta mi niepotrzebna! Dałem słowo, że żywa istota nie ujdzie z Tynu, więc dotrzymam!....

— Rób swoje!

I wykręcił się na pięcie, by odejść.

Pachołek podniósł rękę, by zadać raz, kiedy nagle ktoś z tyłu ułapił go za nią, a równocześnie napastnik upadł kawałek dalej, jakby wyrzucony z procy.

Popatrzał, co było przyczyną jego upadku.

Jakiś człowiek w krótkim kożuszku, parcianych spodniach i słomianym kapeluszu pochylił się nad ranną, wziął ją na ręce i zmierzał w zarośla świętego gaju.

Był to Krak.

Z myślą zajętą pięknem dziewczęciem, co z biegiem wypadków stanęła na jego drodze, i swą postać mimo woli wryła mu w serce, z jakąś nieznaną mu dotąd o nią troską, porzucił myśl ucieczki do swoich, bo przeczucie szeptało mu ciągle, że ze strony potwornego Seminga grozi jej niebezpieczeństwo.

Raz tylko ją widział tam w lesie na drugi dzień przybycia pod Wawel, kiedy to z rozkazem dostarczenia języka szperali po okolicy.

Od tego czasu widział ją wciąż przed sobą.

Widział jej złociste, jasne, rozwiane na wiatr włosy, jej czarną brew, a jej źrenice nurtowały mu w sercu dzień i noc i przyprawiały go o jakieś nieznane mu dotąd dreszcze.

Został, ponieważ Seming zapowiedział na Tyn wyprawę.

Kilka jednak dni musieli przeczekać, bo wzburzonem falom Wisły nie było pewnie powierzać swojego bezpieczeństwa.

Wczoraj dopiero wieczorem wydał rozkaz Seming do drogi w górę rzeki.

Świtaniem stanęli pod wzgórzem Tynu.

Ranne opary okolicznych jezior i moczarów okryły ich gęstą zasłoną mgły i ułatwiły niespostrzeżenie podejście pod zabudowania grodu.

Wysłany oddział na zwiady, doniósł niebawem, że w gaju, poświęconym bogom, zebrała się starszyzna rodowa na wiece.

— Bogowie sami dają mi ich w ręce! — rzekł ucieszony wiadomością i wysłał ze swemi żądaniami poselstwo.

— A jeżeli odmówią? — zapytał dowódca poselstwa.

— Wtedy gorze im! — rzekł Seming i nerwowym skurczem drgnął dolną szczęką.

— Lecz nie grozić i wracać!

— Odmówili! — rzekł za chwilę pachołek.

Oczy Seminga wykręciły się zyzem. Chwilę żuł dolną szczękę, wreszcie w złości okropnej wykrztusił rozkaz:

— Połowa otoczyć i wyrżnąć starców, reszta do Tynu! Żywa noga nie śmie stąd wyjść!

W milczeniu na migi, by nie czynić hałasu, podzielono drużynę i ze strzałami na cięciwach łuku, chyłkiem, uważając, by szelestem liści lub trzaskiem gałęzi nie spłoszyć ofiary, poczęli się skradać.

Z Tynu równo ze świtem doleciał bek owiec i ryk wołu.

Za chwilę zalegała cisza.

Znać mieszkańcy powstali i podali bydłu paszę.

Na czworakach z nożami w zębach i oszczepami w dłoni, wzdłuż palisady Tynu skradali się jak zbiry ku bramie.

Wilk u dźwierzy znać wyczuł wroga, bo niespokojnie zaczął się kręcić i skomlał.

Odpowiedział mu pies i ze szczekaniem podbiegł do bramy.

Za chwilę ze strasznem ujadaniem rzucił się na bramę, która przyparta kilkudziesięcioma ramionami trzasła z łoskotem i rozwarła się na dwoje.

Pies, ugodzony oszczepem, zawył okropnie i legł nieżywy, a równocześnie fala Normandów wtłoczyła się na dziedziniec.

Kilku wyrostków zajętych opatrywaniem bydła, na przeraźliwy skowyt psa wyjrzeli ze stajen, a widząc w dziedzińcu wroga z wojennym rodowym okrzykiem „Starża“, wpadli do świetlic i budzili pogrążone we śnie rodzeństwo.

Odsunęły się zasuwy u okien i grad strzał posypał się na najeźdźców.

Kilku zabitych i rannych usunęli Normandowie na bok, a sami ujęli nagotowane smolne łuczywa, zapalili je u przyniesionego ze sobą kociołka z ogniem i rzucili płomienie na słomianą strzechę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kowal zawinił, a ślusarza powiesili.

W pięknej miejscowości, ziemi radomskiej, dwaj kumowie obchodzili uroczyście zaręczyny swych dzieci. Młody Mikołaj Sikora miał pojąć za żonę Hankę, córkę kowala Gwoździa. Gody weselne przeznaczone były już na najbliższe dni, więc też ojcowie państwa młodych raczyli się do późnej nocy miodem i gorzałką. Brat stryjeczny ślusarza Sikory i rzekomo przyszły starosta weselny. Wojciech, już pierwej opuścił wesołe towarzystwo nie przeczuwając nawet, że w ten sposób unika niebezpieczeństwa życia.

Stary kowal bowiem, Maciej Gwóźdź powszechnie zresztą poważany obywatel, jak się rozochocił przy kieliszku, nabywał takiej odwagi i awanturniczości, że biada było człowiekowi, któryby wszedł mu w drogę. Podobnie stało się tej nocy. Gdy rozczuleni kumowie się pożegnali, kowal powracając, śpiewał z radości, aż po całym Osieku psy wyć zaczęły. Tego nie mógł ścierpieć p. Konopka, policjant miejscowy.

Na upór jednak i fantazję Macieja nie było rady. Gdy więc Konopka nie chciał zezwolić na lekceważenie swej władzy i powagi, gorliwość swą przypłacił życiem.

Rano, jakby sądny dzień nastał w miasteczku. Obydwaj ślusarze i kowal Maciej zostali aresztowani. Sprawa jednak poczęła się wikłać. Zbrodnię taką bowiem musiało się ukarać śmiercią, a tymczasem w miasteczku i całej okolicy był tylko jeden kowal, koniecznie potrzebny. Jednak do zarządu gminy w tej miejscowości były dopuszczone kobiety i one także na równi z mężami sądziły przestępstwo i zbrodnie, popełnione w obrębie miejscowości. Jak więc zaczęto wspólnie radzić, znaleziono nadzwyczajny sposób, że i Konopkę pomszczono i kowal Maciej żył dalej. Za współwinnych bowiem zabójstwa uznano obydwóch ślusarzy Sikorów, którzy przecież razem z Maciejem pili. Ślusarza więc, który dłużej pił z kowalem, jako winniejszego od Wojciecha, skazano na śmierć i mimo protestów nieszczęśliwego, powieszono.

Kowal dłuższy czas przebywał pod strażą w więzieniu i musiał wykonywać roboty kowalskie. Po trzech, czy czterech latach wypuszczono go na wolność pod warunkiem, że miejscowości tej nie opuści i będzie uczył dwóch chłopców na kowali, by znowu kiedyś sądownictwo osieckie nie znalazło się w tak trudnem położeniu, jak minione. Maciej zadowolony oczywiście przystał na podane mu warunki i długi jeszcze czas żył w poważaniu i dobrobycie.

Od chwili swej zbrodni porzucił jednak zupełnie kieliszek. Zaręczyny między kowalówną, a młodym Sikorą zerwano. Mikołaj Sikora udał się w świat i więcej nie powrócił. Żona nieszczęśliwego ślusarza obarczona dosyć liczną rodziną, znajdowała się w ciężkiem położeniu, lecz stale odrzucała ofiarowaną jej przez Macieja pomoc. Dopiero po jej śmierci Maciej zajął się gorliwie wychowaniem sierót, pragnąc ile możności naprawić swą winę wobec biednych dzieci.

Wieść o tak dziwnem zakończeniu procesu o zabójstwo Konopki rozeszła się w krótkim czasie po dalekich okolicach Polski, przetrwała wiele lat i przeszła w ogólne znane przysłowie na określenie niesprawiedliwego postąpienia. Ciekawe akta procesu były opisane i przechowywane, dopiero w czasie wielkiego pożaru Osieka w r. 1842 spłonęły.

Nikt nie może pochwalić sądu nad ślusarzem i każdy z nas przyzna, że gdyby on wówczas rozstrzygał sprawę ślusarza Sikory i kowala Macieja, inny byłby jej wynik. A jednak wielu z nas idzie mimo to drogą owych sędziów osieckich. Drogą tą bowiem jest niesprawiedliwość. Krewniakami duchowymi osławionych sędziów są ci, którzy prawdziwie pokrzywdzonego człowieka umyślnem przeciąganiem procesu doprowadzają często do ruiny. Są nimi dalej ci, którzy przygnębieni swem niepowodzeniem lub nawet niesprawiedliwością innych, stają się krzywdzicielami swego otoczenia, może często nie zdając sobie dokładnej sprawy ze swej winy. Prawdopodobnie każdy z nas potrafiłby wskazać na wielu naśladowców sądu nad Sikorą, najważniejsze jednak, a zarazem najsmutniejsze jest to, że często my sami idziemy za przykładem tego sądu. Idziemy zaś zawsze wówczas, powtórzmy sobie gdy postępujemy niesprawiedliwie, wówczas gdy zamiast winnego kowala, którym często my sami jesteśmy, skazujemy na karę niewinnego ślusarza. Tak i dzisiaj jeszcze się zdarza, że kowal zawini, a ślusarza karzą.

Jan Pelczar.



Zimowe strofy.

Przyszła już zima, z nią śniegu płaty
Pokryły pola i nasze chaty.

Na polach pustki, a w sercu czarne
Bo myśli tęskne, doń się garną

I głuszą chwile miłe radosne
Co się zjawiły z kwiatkiem na wiosnę.
Cała przyroda we śnie spoczywa
A ciszę senną, wicher przerywa

Wyjąc żałośnie po całym świecie
To straszne słowo „Śmierć wszystko zmiecie

Te cudne kwiaty co z ziemi rosną
I znów się obudzą, do życia z wiosną.
I życie ludzkie nie mija marnie
Choć ciężkie godzą w niego męczarnie

A choć je zgnębi śmierć-zima sroga
To znajdzie żywot wieczny u Boga

Gdzie wieczna Wiosna i wieczne słońca
Trwać będzie szczęście zawsze bez końca!
To szczęście ziemskie całe przeminie
Zostanie wzmianka w wspomnień krainie.

I znikną śniegi i ziemia cała
Co kiedyś pięknem marnem jaśniała

I przyjdzie chwila gdzie cicha „Cnota“
Otworzy dobrym niebiańskie wrota!!!

Władysław Bienias.

UROKI ZIMY.



Każda pora roku ma swoje przyjemności, a chyba nikt nie zaprzeczy, że ma ich podostatkiem i nasza srebrzysta zima. A może jedynie wiosna jest od niej przyjemniejsza.

O wiośnie niema i co mówić; jest ona bowiem radością życia, w niej wszystko budzi się z martwego snu, zieleni się, błyszczy, kwitnie, a i człowiekowi każe zapominać o szarudze jego żywota, a cieszyć się blaskami słońca, krasą kwiatów, zielenią drzew i szczebiotem ptaszków leśnych i polnych. Wiosnę słusznie porównują do płochego dziewczęcia, co to jeszcze pstro ma w głowie, nie zastanawia się nad tem, co będzie, ale żyje chwilą bieżącą, raduje się i weseli, w pląsach i radości przepędzając pierwsze dni swego żywota. Jak nie masz nic przyjemniejszego nad młodość człowieka, tak nie masz nic weselszego nad wiosnę na świecie.

Mija wiosna, przychodzi lato. Dojrzewają kwiaty, aby wkrótce wydać owoc, z którego w przyszłości znów nowe życie się rozrodzi. I po wiośnie życia myśl ludzka dojrzewa. To, co było do niedawna dlań rozkoszą i zabawką, w lecie jego dni staje się obowiązkiem i troską o przyszłość. W lecie przyrody życie bije i pulsuje w całej pełni. W lecie życia ludzkiego dzieje się to samo. Ale jak lato w przyrodzie wśród jasnych promieni słońca nie jest wolne od burz i grzmotów, tak lato życia ludzkiego ma ich nieraz tyle, że nawet najtęższe natury pod ich ciosami uginają się i łamią.

Przychodzi jesień, a w niej zbiór plonów, jakie urocza wiosna poczęła, a rozsądne lato zrodziło. Natura, zadowolona z swej płodnej działalności, sypie darami i rozpromienia twarz człowieka. A i on, ten pan wszelkiego stworzenia, człowiek, ogląda się poza siebie, a ogląda z zadowoleniem, że praca dni jego w młodości poczęta, w lecie życia wykonana, nie poszła na marne, ale przyniosła mu pożądane owoce. Ale wśród tego zadowolenia wyciągają się w myślach jego i szare chmury: wspomina niejedno, co mógł dokonać, a czego nie dokonał, co zlekceważył, a co dziś się już odrobić nie da. Wspomina niejedno poczynanie dni ubiegłych i czarna chmura zasępia jego oblicze. Lecz co minęło, nie wróci i odrobić się nie da. Trzeba zamknąć wieko trumny nad przeszłością i brać z życia to, co w niem jeszcze pozostało.

Jak pierwszy śnieg pokrywa swą białą szatą wszystko to, co żyło przez dni ubiegłe, tak zima życia ludzkiego powinna pokryć to, co się już odrobić nie da, a brać z tego życia jeszcze to, co jest do wzięcia. Bo i zima ma swoje przyjemności! Popatrzmy na przyrodę; ile tam piękna, ile radości jeszcze, choć radość ta, zdawałoby się, jest tylko radością przeszłości. Białemi obrusami śniegu pokryła się ziemia, białe firanki zwisają z drzew, białe płaty spadają z nieba. Wszędzie biel i biel, ten kolor niewinności. A biel ta powiada nam, że wszystko to, co przez lato i jesień skryło się brudem, zostało zmazane, a oto idzie nowe życie, niepokalane jeszcze, z którego narodzą się nowe czyny, nowe dzieła i nowe radości. Cała przyroda czeka tego odrodzenia. Czeka go biedny zajączek, skulony pod drzewem, czeka i ptaszek, ukryty wśród gałęzi. Na odrodzenie się świata czeka trawka, przysypana białą pościelą śniegu, czeka drzewo igiełkami szronu ustrojone. Wszystko czeka przebudzenia się ziemi do nowego życia, do nowej pracy, do nowego wesela.

A czyż człowiek, któremu w pracy włos pobielał, nie czeka na powrót wiosny swych czynów? Wpraw-

dzie w odrodzeniu się świata on już nie będzie brał udziału, ale z myśli jego, z działalności jego nowe czyny powstaną, a on ojcem ich będzie. I choć ciało jego spocznie w ciemnej mogile, to myśl jego niespożyta istnieć będzie do ostatnich dni świata. A myśl o tem, czyż nie jest urokiem zimy życia ludzkiego?



Święty Mikołaj to okrutecnie dobry święty; jednemu przyniesie to, drugiemu tamto, a temu, co nic nie przyniesie, to przynajmniej obieca przynieść na bezrok. Do tych trzecich nalezę ja juz od samego urodzenia. Jezelim powiedział, ze nalezę, tom trochę zełgał, bo trzeba było powiedzieć: nalezałem. Od tego rocnego świętego Mikołaja juz nie nalezę do tych trzecich. ale do pirsych, abo do drugich

Odkąd ino zacąłem gadać w „Roli", to co roku moje przyjaciele z całego świata pisali mi, ze teraz nie ino na ziemi, ale i w niebie ciężkie casy, to świętemu Mikołajowi nie wystarcy la wszyćkich piniędzy, aby im mógł co przynieść. To, co ma, musi obrócić la bogatsych, a taki dziadyga, jak Maciek, moze pocekać. Zreśtą bogace dość będą mieli pokutowania w piekle, to niech se choć teraz uzyją, a tacy, jak ja, będą mieli w niebie tyle, ile potrza rozkosy, to niech sie choć teraz potrapią.

Co prawda, jak byli w Polsce ministrami od pieniędzy panowie Grabski, Kucharski i inksi, to było u nas tyle piniędzy, ze miljonem mozna se było buty cyścić, ale cóż kiedy wtencas „Rola" nie wychodziła i o mnie se ludziska zabacyli. Jagem znowu zacął w „Roli" gadać, to Marsałek Piłsudski tych piniężnych ministrów wysiudał na zieloną pase tak, ze teraz o miljonik trudniej, jak o zbawienie wiecne.

Ale casy się poprawiają. Bez tamte lata miałem ino same obiecanki, tego roku dostałem od świętego Mikołaja podarunek, który mozna było zębami namacać. A było to tak: W samą wilije do świętego Mikołaja przychodzi liściarz z pocty i niesie pakunek i pyta: „Cy tu siedzi Maciek Bzdura?" — „Siedzi nie siedzi — padam ja na to — ale jak na ten raz to stoi!". „No bo tu jest packa od świętego Mikołaja z Limanowy!" Pewnie kanfina — myśle se — bo cózby inksego z Limanowy być mogło!"

Otwiram packe, rozkręcam jeden papier, rozkręcam drugi, trzeci, czwarty, piąty, dziesiąty, dwudziesty i po godzinie dobiram się do podarunku od św. Mikołaja z Limanowy. Dwa chłopaki z ciasta, rumianiusieńkie, jak malowanie! Nie ciesyłem się jednak długo, gdyz zuźrała ich Kaśka i obydwóch za jednym zamachem do gęby se wepchała. Myrdnęli tylko nogami w powietrzu i znaleźli się w jej brzuchowych celuściach piekielnych.

Ocywiście św. Mikołaj temu nie winien, ze baby takie łase na chłopaków, choćby oni nawet ino z ciasta byli. Zeby to był święty Mikołaj przewidział, a przysłał tych chłopaków z zakalcem, to dobrze byłby zrobił. Bo powiadam wam, ze złość babska niema granic.

Jak to przecie wszyćkiem wiadomo, od samego urodzenia siedzę, chodzę i lezę w Psiej Wólce i ani mi na myśl nie przysło, ze są gdziesi kajsi jakieś Krzesowice. Nigdy tam nie byłem i nie bedę, bo nie wiem zgoła, cy są i gdzie są. A tu temcasem na świętego Mikołaja od panienek z Krzesowic takie bajanie otrzymuję:

Maciek do „Roli" wymyśla gadanie...
Djabeł cichutko stanął se przy ścianie
I słucha pilnie, jako ten niezdara,
Osioł, ciamajda i z Mościsk fujara,
Jak o kobietach on swe głupstwa plecie,
Ozorem je maluje, jakby na portrecie!...

Czekaj psia paro, poczekaj gałganie,
Sprawię ja tobie dziś siarczyste lanie!
Pożałujesz ty swego gadania,
Nie będziesz mógł usiąść z miesiąc do śniadania.

Kiedy Maciek do „Roli" poniósł swe gadanie,
Djabeł na niego czekał już w bramie
I złapał Maćka w swoje pazury
I wywrócił go... do góry.

Rżnie powrozem, co ma mocy...
Maciek wrzeszczy: Och pomocy!
Lecz djabeł, co się zowie,
Sprał go po tej dolnej głowie.

Czytelniczki przez radjo słyszały te wrzaski,
Wszystkie się cieszą i sypią oklaski,
Dziękują djabłu, że Maćka oćwiczył...
Będzie się teraz ze słowami liczył!

Takie pisanie przysłały mi panienki z Krzesowic z potelegrafją, ale tak one, jak i świat cały wiedzą, ze to nie prawda, bo ja nigdy w Krzesowicach nie byłem, a drugie nigdy jesce djabła w portkach nie widziałem. Są djabły, ale w spodnicy, a tych to ja sie nie boję, bom nie zeniaty.

A gdyby to nawet było prawdą, co te panienki powiadają, toby mnie to ino ciesyło, ze djabeł sie mojego gadania boi i bez to z panienkami trzyma.

Elegja.

Ś. p. Ferdynandowi Kurasiowi.

Kto obejmie po Tobie Mistrzu, Twoją lutnię?
kto, jak Ty, zrozumiale przemówi do Ludu,
któryś tyle wycierpiał przez los swój okrutnie,
nie lękając się nigdy zbytnich walk ni trudów.

Ty, coś szczerze swe serce oddał Narodowi,
potęgą ducha łamiąc przesądów kajdany —
dawałeś swe pieśni, jak przystało synowi,
lecząc niemi choć w części bolejące rany...

Powstał Lud, zasłuchany w pieśń swojego brata,
który czucie gorące oddał świętej Sprawie,
dziwnym blaskiem nadziemskim lśniła Twoja szata
duch proroczy się w Tobie Mistrzu nas objawił...

Dziś nas jednak rzuciłeś, idąc hen w zaświaty —
zostawiając nam lutnię, swą osieroconą...
Nie zdoła wyrównać poniesionej straty
smutno płacze drużyna przez Cię opuszczona...

M. „Widz".

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Zanzibar I.

O Zanzibarze pisaliśmy już zeszłego roku w „Roli". Ze względu jednak pominięcia wówczas wielu ciekawych szczegółów, powracamy jeszcze obecnie na tę dużą wyspę, leżącą niedaleko wybrzeży afrykańskich, na oceanie Indyjskim, w pobliżu Tanganiki. Cała wyspa podzielona jest na cztery równe części, któremi zawiaduje wielki wódz, zwany mwene. Inni hamis i te wydają im się najsmaczniejsze. To też w pewnych porach roku setkami wyprawiają się na rozkaz swego wodza ku ich osadom, kryją się zaczajeni w zaroślach na granicy Udoe, gdy człowiek jaki przechodzi, napadają na niego i zabierją go ze sobą. Często całe karawany w różne rozchodzą się strony, a zwykle wolą odbyć dwakroć dłuższą drogę, niż narazić się na niebezpieczeństwo spotkania większej siły zbrojnej swoich nieprzyjaciół, bo wtedy odwrotnie, sami musieliby im służyć za przekąskę.



Hipopotamy w nurtach rzeki zanzibarskiej.

podrzędni naczelnicy są od niego zależni i płacą mu roczną daninę; on zaś ma władzę absolutną nad wszystkiem i wszystkimi. Wielki mwenu zapuszcza zwykle wielką brodę, ogromne paznokcie, które obcina na kształt lwich pazurów i nosi włosy długie, splecione w małe, tłustością smarowane warkoczyki. Że w takiem przystrojeniu szkaradnie wygląda i wydaje ze siebie woń bardzo niemiłą dla Europejczyków, to każdy łatwo pojmie. Przed obcymi mają zwyczaj uciekać i kryć się tak, że trudno ich zobaczyć i pomówić z nimi. Zresztą i pomiędzy sobą ci mweni odwiedzać się nie mogą, gdyż gdyby przez jakiś nieszczęśliwy wypadek oko jednego z nich spoczęło na drugim, to byłoby według ich przesądów, niechybną przepowiednią śmierci dla jednego z nich. To też jeżeli interesa państwowe wymagają konferencji wspólnej wszystkich czterech mweni, to oznaczają pewną wieś, jako miejsce zebrania się i tam w domostwie na cztery części podzielonem odbywają narady przez ściany.

Gdy jeden z nich umiera, kopią grób i zakopują w nim nieboszczyka wraz z kilku kobietami, które mają mu służyć na tamtym świecie, przyczem urządzają się tańce i festyny, przy których piją krew z czaszek ludzkich i jedzą ciała ludzkie.

Toż samo odbywa się przy wyborze nowego dowódcy, a że nie wolno im wzajemnie zjadać się, a z drugiej strony ponieważ ceremonje owe wymagają koniecznie ofiar ludzkich, więc ustanowione są najzupełniejsze polowania na ludzi. Największą wartość dla nich mają ciała sąsiadujących z nimi Wa-

Wodzowie jedzą ludzkie mięso z rozkoszą, ale rozmawiać o tem nie lubią. Okropny ten stary obyczaj ściąga na nich nienawiść wszystkich okolicznych ludów i plemion i często jest powodem wojen.

Pominąwszy już krwiożercze apetyty krajowców, podróż na Zanzibarze jest i z tego względu niebezpieczna, że grasuje tam wiele drapieżnych zwierząt, przed któremi trzeba się mieć na baczności. Ostrożnem trzeba być szczególniej w nocy, gdyż wtedy najchętniej rzucają one się na podróżnika. Oto widzimy na naszym obrazku taką zgrozą przejmującą scenę. Tam w głębi rozbiła karawana swój obóz; zrządzono odpoczynek na noc. Aliści natychmiast dookoła owego obozu powyrastały gromady drapieżców, które wypatrują sposobnej chwili, aby rzucić się na ludzi i pożreć ich. W zgodnej harmonji stoją lwy i hyjeny, a poza nimi czają się może jeszcze inne bestje. Ale człowiek ma sposób na nie. Nie tyle tu może zdziałać broń palna, czy sieczna, co ogień. Podróżni rozpalili więc ogniska, których jasne płomienie trzymają w należytej odległości napastników. I można być pewnym, że dopóki płoną owe ognie, żaden z drapieżców nie ośmieli się podejść bliżej obozu. Ale niechby się ktoś niebaczny odważył wysunąć nieco dalej, byłaby to ostatnia godzina jego życia.

Nietylko ląd stały ma takie potworne bestje, jak lwy i hjeny, mają je i wody. Oto na drugim obrazku widzimy ujście rzeki Kingani, w nurtach której kąpią się olbrzymie hipopotamy. Można przypuszczać, że



Karawana broni się od dzikich zwierząt.

żaden człowiek nie ośmieli się używać kąpieli w ich towarzystwie. Ale i te olbrzymy padają nieraz ofiarą zwierząt lądowych. Jeżeli któryś z nich wyjdzie sobie na przechadzkę na brzeg i nie pluśnie zawczasu do wody, pada trupem pod kłami lwa lub innego jakiego drapieżnika. Często pomiędzy nimi przychodzi do walki i tu, jak zwykle, zwycięża nietyle ten, który jest mocniejszy, ale ten, który posiada więcej zręczności.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

JULJAN BACZYŃSKI.

Złoty trzewiczek.

Powieść z XII wieku.

Ubrała się, ogarnęła i szybko biegnie do starej Hanny. Tam dowie się czegoś, bo temu, co w nocy słyszała, nie uwierzy nigdy i uwierzyć nie może.

Przed chatą Skałów widzi poruszającą się już gromadę ludzi, pośród nich płacze i zanosi się pochylona biedna kobieta. Ale Piotrusia nigdzie nie widać. Na pagóreczku pośród ludzi stoi zamkowy człowiek, strożny, z podniesioną ręką i przemawia głośno. Jagna, dochodząc, słyszy następujące jego słowa:

— Matko, twój syn Piotr ukradł złoty trzewiczek z nogi Pana Jezusa w tym kościele, za tak straszną zbrodnię skazany będzie na karę śmierci!

— Och nie ukradł, nie ukradł, panie strożny, tylko sam Pan Jezus mu zesłał, aby nas wyratować z nędzy!

I biedna matka zalała się łzami, gdy zamiast uszczęśliwionego syna, który z pieniądzmi miał powrócić, o tak strasznem nieszczęściu i hańbie się dowiedziała. Padła na kolana i zanosząc się, modliła się gorąco, w Bogu szukając pociechy. Wszyscy już odeszli od niej, tylko dziewczyna jedna, ledwie żywa, wsparła się o płot i dyszy przy niej, nie zważając na nikogo.

Gruchnęła teraz ta smutna wiadomość po mieście i po okolicy, a ciekawi ludzie stawali już gromadkami koło kościoła i blisko chaty starej Hanny. I mówili pomiędzy sobą:

— Ktoby się był spodziewał, tak się modlił, tak pobożnie wrzkomo wygrywał, a to złodziej!

— Z biedy to zrobił, z biedy, ale popełnił straszną zbrodnię i świętokradztwo niesłychane!

25. Straszny sąd.

Wkrótce odbył się sąd nad biednym Piotrusiem. Nic mu nie pomogły i na nic nie zdały się wszelkie tłómaczenia się i uniewinniania. Po krótkiem przesłuchaniu starosta grodowy (judex castri) ogłosił mu następujący surowy wyrok:

Za srogą zbrodnię świętokradztwa, to jest, za skradzenie złotego trzewiczka z nogi Chrystusa Pana w kościele świętego Salwatora, — skazanym zostaje Piotr Skała, skrzypek ze Zwierzyńca:

primo: na odcięcie prawej ręki, którą spełnił tę zbrodnię;

secundo: na spalenie żywcem na stosie.

Nadszedł wreszcie dzień spełnienia wyroku. Ludzie wszelakich stanów cisnęli się ze wszystkich stron od Zwierzyńca i od miasta przez ulicę Kowalską, przez Psi rynek i ulicę Kocią[1]) pod zamek. Na obszer-

[1]) Ulica Kowalska dziś Franciszkańska, Psi rynek i ul. Kocia, to plac i ulica koło magistratu i za nim ku zamkowi. Nie jest pewnem, czy wtedy, czy też później powstały te nazwy ulic. Podobnie nazywały się jeszcze: ul. Psia, dzisiejsza Reformacka, ul. Świnia, dzisiejsza św. Krzyża, ul. Krowia koło Gródka.

nej przestrzeni wznosił się katowski słup, a w pobliżu ustawiono stos drzewa, na którym, po odcięciu ręki, miał być spalony żywcem biedny Pietrek. Ci, którzy mieli spełnić te straszne czynności, z ponuremi obliczami kręcili się koło słupa.

Na obliczach zgromadzonych tłumów znać było smutne zaciekawienie. Pomiędzy kobietami, których stosunkowo większa zgromadziła się ilość, szczególne widać poruszenie. Gdzie spojrzeć, w oknach pobliskich domów, w zaułkach, po rogach, na przystawkach i ławach widać strojne czepce starszych niewiast i jasnowłose główki dziewcząt, ubrane w wieńce z kwiatów. Wieść o młodym i pięknym skrzypku, otoczonym nadto pewną cudownością i o strasznym wyroku, który miał być spełnionym, wstrząsała je do głębi.

Ranne godziny upływają, ale jakoś ani straży, ani orszaku halabardników, a pośród nich biednego Piotrusia, nie widać.

Nagle ukazała się gromadka ludzi, spiesznie dążąca od Zwierzyńca.

— Czekajcie, czekajcie! — zawołał jakiś człowiek, skrzypek w kościele na Zwierzyńcu, starosta raz jeszcze pozwolił mu zagrać przed Ukrzyżowanym!

— Skrzypek na Zwierzyńcu, skrzypek na Zwierzyńcu! — wołali ludzie, zawracając w tamtę stronę.

— O dałby Bóg, by go uwolnili jeszcze!

— Ba, na nic już, na nic, jak wydany wyrok, to przepadło, upieką go, uskwarzą, oj!

— Może go uwolnią, może go uwolnią jeszcze! — wołały jasne dziewczęta, wystawiając naprzód głowy i obcierając zapłakane oczy.

I z temi mowami poruszyły się, jako fale, tłumy ludzi, z pośród nich wyrywały się mniejsze gromadki i biegły na Zwierzyniec do kościoła św. Salwatora.

26. Boski wyrok.

Kościół był już ludźmi nabity. Ale największy ścisk panował przed ukrzyżowanym Panem Jezusem. Klęczał tam biedny Piotruś, przy nim straż zamkowa, obok zasiadł starosta grodowy, ksiądz, stała służba kościelna i najbliżsi znajomi Pietrka. Matka była tak chora, że do kościoła przywlec się nie mogła. Pod murkiem przy ołtarzu, schylała się jakaś płacząca dziewczyna, a wśród ciszy słychać było jej szept:

— O, on nie mógł ukraść, nie... on taki dobry, pobożny, jak święty...

Nagle przed krzyżem rozległo się głębokie westchnienie, a potem donośny głos:

— O Panie miłosierny, Chrystusie ukrzyżowany, jam niewinny, niewinny, o ulituj się nademną, nad matką moją!!

To Piotruś ze łzami w oczach woła tak do Pana Jezusa, do którego tyle razy się modlił. Głową bije o stopnie ołtarza, w piersi się uderza, to w Chrystusa patrzy, a ciągle gorąco się modli.

— O Panie Jezu Chryste, — woła znów — ja śmierci dla Ciebie nie lękam się, lecz nie daj mi ginąć jako zbrodniarzowi, wykaż niewinność moją, o słodki Panie Jezusie!

Podniósł się z ziemi, ujął w ręce skrzypki, które mu przyniesiono i wygrywać począł. Zrazu cicho, łagodnie, zaczynają się rozpływać urocze tony jego muzyki. Zda się, że nie tony, ale jęki i płacze słychać, coraz smutniej, coraz żałośniej rozlega się ta muzyka, ta modlitwa biednego skrzypka. Żalem i litością ściskają się ludzkie serca, w zamglonych oczach łzy stają. Po raz ostatni biedny skazaniec tak boleśnie wygrywa, po raz ostatni te tony żałości rozbrzmiewają w Pańskiej świątyni!

— Biedny, tak pięknie, tak rzewnie gra i dzisiaj zginie! — mówiły płacząc kobiety. — Już więcej nikt go nie zobaczy, nie usłyszą, ani jęcząca w domu matka, ani sąsiedzi mili!



Podniósł się z ziemi, ujął w ręce skrzypki i począł wygrywać.

W pięknym dniu wiosny tak wesoło na świecie, słonko jasno na niebie świeci, rośliny, drzewa i kwiaty do tego słonka podnoszą się zwolna coraz wyżej, ponad niemi bujają w powietrzu ptaszki i motylki, wszystko, co żyje, cieszy się i raduje. Tylko w świątyni smutne i bolesne rozlegają się tony i zda się, że cały kościół, cały w nim lud płacze nad nieszczęśliwym!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Weselna droga.

Tragiczna komedja z dziadowskiego żywota wyjęta głupim — na śmiech, mądrym — ku rozwadze.

U Witka „Na równicy" chodzili spać zwykle bardzo późno. Ostatecznie nikt się tem zbytnio nie gorszył ale byli tacy, których to ciekawiło. „Co te ludziska robią, że spać nie idą? Po sprawności — to nafty szkoda na takie ślęczenie"...

Niejednego to mizerne światełko pociągało. Więc umyśliwszy błahy powód, biegł ten i ów „Na równicę", by tam przesiedzieć długi wieczór jesienny i zakosztować choć odrobinkę tego zapachu egzotycznego, jakim przesiąknięta jest każda chałupa z wyjątkiem własnej.

Czas spędzano różnie. Jeśli się zeszła młódź — grała w karty. Jeśli ktoś z starszych gospodarzy zawitał, bywało, że i on ulegał pokusie karcianej. A wtedy — choćby do rana. Przynajmniej — jak długo w kaganku nafty starczy.

Nafta bywała zwykle dosyć wyrozumiałą. Jak się tam świeciło — to się świeciło, grunt że jeden drugiego widział i że przed północkiem nigdy kaganek nie wzywał pomocy. Zato do grymasów było skore chudzina-szkiełko, pokrywając się co jakiś czas grubą powłoką sadzy. Wtedy — wiekuista noc. Skuteczną radę na to znajdowała w swych palcach sama Witkowa. Ażeby operację z knotem i szkiełkiem jakoś sobie uprzyjemnić, mruczała pod nosem:

— Trza przynizyć... We flaszce niema nafty ani na lekarstwo, a na „Moroń" kto poleci...

Gwar w izbie przycicha. Wszyscy patrzą na wszechwładne palce, Witkowej, powiedziałbym: twórcze palce, które z brudnej flaszczyny, poprostu z niczego tworzą jasność, które potrafią tę jasność trzymać, ściskać, dławić, rozpylać na drobne iskierki, gdzieś unosić, to znów kłaść na przegniłym knocie... Już wszystko w porządku! Palce giną, jasność zostaje. Co za jasność! Lecz Witkowa dalej lamentuje:

— Dziady jedne... żeby we wsi nie mieć jednego bodaj sklepu. Kto widział... Byle głupstwo potrzebne, to se dyndaj człowiecze na Moroń, albo do samego miasta... dyndaj bez te zapadłe górzyska.

Juści trza było dyndać — niema rady. Nawet wyzłościć się nie było kiedy, bo... wieczerza się gotuje, a soli ani garści (w południe zdawało się, że wystarczy), bo zaczynę trza zrobić, więc drożdże pilne, bo... i tak zawsze. Ale któż miał zająć się sklepem? Chłopi dosyć się już namedytowali nad tem, radzili nad stworzeniem „Kółka Rolniczego“, lecz wszystko kończyło się na gadaniu, gadaniu. Wkońcu upewnienie, że wszystko się zrobi. Wszakże „za wolą boską jakoś ta będzie“. A potem znów to latanie na Moroń do żyda, lub do miasta za byle głupstwem. Wprawdzie jarmark był niedawno, ale jak się idzie obejrzeć bydło i przewiedzieć, czy coś potaniało, wtedy nie można myśleć o potrzebnych w gospodarstwie drobnostkach. Baby mają czas, niech dyndają.

Drzwi od sieni skrzypnęły. Dziecka porwały się z nalepy, wpatrzone w próg izby.

— Stryk idą, stryk! Przyniosą nam gruszek suszonych, albo czego. Napewno stryk.

Ale jakoś ten stryk pomylił sobie w sieni, bo drzwi się nie otwierają. Dziwią się wszyscy. Jakto? Co wieczór przychodzi, każdą szparę chyba zna, i dziś nie mógłby klamki znaleść... Coś dziwnego. Dzieci się niecierpliwią. Wreszcie Marysia chwyta za klamkę i pcha drzwi z całych sił ku tyłowi.

— Zabłądziliście, stryku, czy co?

Z ciemnego wnętrza sieni wyłania się postać najmniej do stryka podobna. Staje w progu. Wszyscy zdziwieni.

— A ciebie, Kasiu, co tu przyniosło? — wołają. — Cóż cię na noc wygnało?

Wiedzą doskonale co ją „przyniosło“ i co „na noc wygnało“. Wiedzą lepiej od niej. Wszyscy znają tę siłę, która popędza bezdomnego żebraka, sierotę losu z kąta w kąt, by nigdzie miejsca nie zagrzał. Znają, lecz nie zawadzi zapytać. Choćby do dziadówki trza coś przepedzieć. Nie można tak otwarcie: — I pocóż cię tu dziadzi niosą? Nie mogłaś sobie gdzieindziej upatrzyć miejsca na nocleg? Teraz się wleczesz? — Może sobie tak myślą, lecz mówią inaczej. O, mówią całkiem poczciwie. Nie dziwota, przecież to ludzie, co „Boga w sercu mają“ i psu na ogon nie nastąpią bez przyczyny.

Witkowa postawiła przed Kasią garnek z wieczerzą.

— Przybliż-że się: Możeś nie wieczerzała...

Kasia, ośmielona taką gościnnością, zaczyna opowiadać, co po wsi słyszała i co gdzie widziała.

— ...Z tej krowy u Janasa pewnie nic nie będzie. Posłali po żyda, aby skórę kupił.

— Zdechła, czy ją dobili?

— Jeszcze nie, ale żydam widziała, jak szedł, pewnie posłali po niego. A z Jędrzejką jacy-jacy... Może dziś, może jutro. Podobno Jędrzej chce mieć syna, tak że ona ledwie dycha ze strachu, co będzie.

— Takżeś widziała?

— Nie ...ale tak mówią. Pod sprawością! A czy wiecie, że u Maryśki „pod miedzą“ już po weselu? — Rozleciało się na amen. Pierwsza zapowiedź już wyszła. O, będzie z tego gadania, że strach! Pono przy zapisie nie mogli się pogodzić. Maryśce o to nie chodzi, ale matka strasznie pomstuje, bo ona do tej żeniaczki najwięcej parła. Jednak lepiej, że tak się stało teraz, niż gdyby później miało być to, co u Fręnosków. Mówią, że wczoraj stara z młodą do nożów się zabrały.

— Co ty kęj? Nikt nie mówił o tem.

— A tak, mościewy! Stara rozcięła Hance wargę, że doktór musiał zeszywać.

Różności miała jeszcze do opowiedzenia, ale jakoś wszystko się urwało, gdy wszedł Ferdek z Uplezia, a za chwilę Józek „od Pietrusia“. Obecność kawalerów krępowała ją zawsze, mimo że czuła do nich pociąg ogromny.

Chłopcy, znając głupkowatą Kasię i jej małżeńskie zamiary, zaczęli ją nabierać oświadczynami.

— Kasiu, wybieraj jednego z nas, bo dość tego zwłóczenia. Czas na weselisko. Zamiast biedować po ludziach, pójdziesz do chłopa. No... jakże ci się widzi?

Ona, chichocząc, kręciła się na ławie, dając do poznania, że o jej decyzję nie trudno.

— Chciałbyś mię to?

— Cóżbym nie miał chcieć: wszyscy wiedzą, żeś robotna, a mnie takiej baby potrzeba.

Ferdek robił minę obrażonego. — Już ja się zemszczę, Józek, na tobie, żeś mi sprzątnął upatrzoną dziewkę. Popamiętasz!

— Gniewasz się? Daj spokój. Córkę ci zato wychowam... Czy nie tak, Kasiu?

— Córkę? hę!... Ale coś mi się zdaje, że ta twoja Kasia jakoś inaczej wygląda. Możnaby przypuszczać, że cię zdradza, w dodatku — wcale nie na żarty. — W takim razie moje czekanie nie potrwa długo. Chodźcie-no tu Witkowo, bo wy chyba znacie się na tem najlepiej.

Powierzchowne oględziny lekarskie nie trwały długo. W szamotaniu coś na Kasi pękło, więc w rozpaczliwym pędzie rzuciła się do drzwi. Ferdek chwycił ją za rękaw, a wtedy rozpięła się bluzka i z zanadrza wysunął się długi ogon szmat, przeróżnych gałganów, któremi Kasia usiłowała upiększyć swoją zbyt szczupłą figurę. Podobno jakiś kawaler powiedział jej raz, że sucha jak szczypa. Nieboraczka pragnęła jakoś temu zaradzić.

W izbie powstał ogromny śmiech. Sama Witkowa aż trzęsła się na nalepie, gdzie się usadowiła, by w popiele ogrzać ziębnięte nogi. Dzieciaki kwiczały, zbierając z podłogi kolorowe gałganki. Szmaciane lalki skorzystają najwięcej.

Wobec późnej godziny chłopcy zabierają się do odejścia. Józek upomina Kasię, aby do wesela podpasła się trochę, lecz tak, by ta tłustość nie odpadła za byle mocniejszem potrząśnięciem. Kasia bierze te słowa w cichości i kładzie na swem sercu.

Noc jesienna, czarna, bez nadziei rumianego świtu. Wszyscy śpią. Niska izba napełnia się coraz cięższą dusznotą. Cisza. Jedynie za piecem coś szuści. Ten szelest budzi Witkową. Nadsłuchuje. Króle-nie króle... czyby myszy? Ki licho tak pomlaskuje? Ciekawość ją zbiera, więc odrzuca pierzynę i wstaje. Za chwilę idzie za piec z kagankiem.

— Kasiu, a cóż ty robisz?

Kasia trzyma funtowy kawał słoniny i zajada w najlepsze.

(Dokończenie nastąpi).

Poradnik gospodarczy.

Pielęgnowanie źrebiąt w zimie.

Pierwszy rok w życiu źrebięcia stanowi o jego przyszłości. Doświadczenie uczy, że największe i najsilniejsze źrebięta wyrastają przy klaczach, dających dużo i dobrego mleka. Już rychło, jeszcze przy matce, zaczyna młode źrebię próbować owsa i innych końskich przysmaków, sięgając po nie nietylko do własnego korytka, ale czerpiąc je również w miarę urostu z paszy przeznaczonej dla klaczy. W ten sposób po 5 do 6 miesiącach odbywa się odsadzanie bez ujemnych następstw, bo źrebię, przyzwyczaiwszy się stopniowo do innej paszy, może się wtedy łatwo odżywiać bez matczynego mleka.

Dobre i treściwe żywienie źrebiąt po odsadzeniu zwłaszcza w pierwszym roku życia posiada dla ich rozwoju pierwszorzędne znaczenie. Pod tym względem daje nam już natura najlepsze wskazówki, bo źrebię przyrasta w pierwszym roku 39 cm, w drugim już tylko 12, a w trzecim 8 cm. Pierwszy więc rok, jak to już powiedzieliśmy, jest w życiu źrebięcia najważniejszy. Kto mu w tym czasie nie da treściwego i odpowiedniego do zapewnienia urostu pożywienia, ten dochowa się tylko lichego konia, bo zaniedbany i zatrzymany w swoim uroście źrebiec nie naprawi już zaniedbań pierwszego roku.

Owies stanowi najlepszy obrok dla źrebiąt zwłaszcza podczas zimowych miesięcy. Gdzie go niema w dostatecznej ilości, odpowiednią jest także mieszanka z owsa i jęczmienia. Marchew i dobre siano o ile możności z koniczyny poprzerastanej trawami są wręcz niezbędne i przyczyniają się znakomicie do należytego strawienia treściwej paszy.

W drugim roku można owsa zmniejszyć, a powiększyć ilość marchwi i siana. Praktykowane w wielu uboższych w owies okolicach żywienie źrebiąt rozmaitemi osypkami i otrębami, lub — co gorzej — parowanemi ziemniakami powoduje obwisłe brzuchy, nadmiar ścierwa i tłuszczu, brak mięśni i inne niedomagania. Tak wychowane konie nie nadają się później do ciężkiej pracy.

Użyteczność konia stanowi dopiero jego rzeczywista wartość, którą jedynie zapewnić może tylko zdrowa, jędrna i hartowna hodowla. Dlatego należy źrebki i podczas zimy wypuszczać na pole, gdzie mogą swobodnie hasać i biegać. Ruch wyrobi im dobrą pierś i mocne nogi. nieodzowne dla konia, mającego później ciężko pracować na roli. Nawet podczas zadymki, deszczu i zimna zaleca się wypuszczać źrebaki na podwórze, a po powrocie do stajni wytrzeć je suchą słomą. Natomiast nie powinny one nigdy na polu marznąć, gdyż mogą się łatwo zaziębić. Gdy źrebię przestanie uganiać, trzeba je natychmiast do stajni zapędzić. Za niskie, ciepłe, ciemne i źle przewietrzane stajnie wpływają źle na wychów koni. W takiej stajni należy wrota tak urządzić, aby ich górna połowa była bez względu na powietrze przez cały rok otwarta celem umożliwienia stałego dostępu powietrza i światła.

Kopytom źrebaków trzeba poświęcić baczną uwagę, bo koń o złem kopycie nie odpowie później swemu przeznaczeniu. Zasadniczo nie powinno się źrebców do 3 lat wcale podkuwać, natomiast będzie tylko z pożytkiem, jeżeli się im w regularnych, krótszych odstępach czasu oczyści i obetnie kopyta. Tak pielęgnowane rozrosną się prawidłowo i nie będą nastręczać trudności przy późniejszem podkuwaniu.

Źrebce powinno się dopiero w czwartym roku zaprzęgać i do pracy używać. Niestety, wielu naszych włościan zaprzęga źrebięta przedwcześnie, wskutek czego wyzyskują oni i niszczą prędko siły konia.

Obchodzenie się z źrebiętami pozostawia jeszcze dużo do życzenia. Powinno ono być jak najtroskliwsze i najłagodniejsze, bo koń, oddający człowiekowi wszystkie swoje siły i służący mu wiernie przez całe życie, zasługuje na to, aby się z nim dobrze i litościwie obchodzić.

Zaprzęgać młode konie najlepiej wówczas, kiedy schodzą one z paszy zielonej i przechodzą na obrok do stajni. Zaprzęganie konia powinno się rozpoczynać od oswojenia go z dokładnie dla niego dobraną uprzężą. Przy umiejętnem, a przedewszystkiem łagodnem obchodzeniu się z nim przyuczy się łatwo źrebiec do tego niezwyczajnego dotąd dla niego zajęcia, jeżeli się go zawsze z reguły zaprzęże obok starego konia, który dobrze ciągnie i równo chodzi. Do takiej nauki można naturalnie używać tylko lekkiego wózka. Gdy źrebiec już jako tako ciągnie, należy go naprzemian z prawej i lewej strony dyszla zaprzągać. Bat powinien w stajni pozostać, bo jego widok straszy konia i pobudza go do szarpania. Dopiero gdy źrebiec oswoi się z ciągnieniem lekkiego wózka, należy go stopniowo przyzwyczajać do lżejszej pracy w polu podczas pogodnych dni późnej jesieni.

Poradnik lekarski.

Głowy zawroty. Skuteczne jest chodzenie boso po rosie, lub wodzie, pić herbatę z ruty, lub olejku lewandowego, 2 razy dziennie po 5 kropli na cukier.

Głuchota. Jeżeli jest wrodzoną, to połączone jest z niemotą; nabyta zaś powstaje z powodu zapalenia ucha, przebicia błony bębenkowej, chorób infekcyjnych, zwłaszcza płonicy (szkarlatyny), zapalenia mózgu, silnego huku, uszkodzenia błony, przez uderzenie.

Przebywać na świeżem powietrzu, mieszkanie przewietrzać, okna, jeśli niezbyt zimno i wietrzno, nawet na noc uchylić, unikając jednak przeciągu i wilgoci. Leczenie klimatyczne polega na działaniu wszystkich czynników klimatu, jak powietrze, słońce, stopień wilgoci i t. p. Klimat nadmorski uspokaja, łagodzi, górski podnieca, stąd wskazany jest dla silniejszych chorych. Nad morzem powinni przebywać chorzy gorączkujący i silnie osłabieni.

Grypa czyli influenza, występuje co pewien czas epidemicznie. Pierwszy objaw grypy jest w formie silnego kataru dróg oddechowych; druga rzadsza opanowuje przewód pokarmowy, trzecia — nerwy. Trwa zwykle kilka dni, przechodzi jednak często w ciężkie choroby, zwłaszcza zapalenie płuc.

Leczenie: Kąpiel ciepła od 30° C. przez dolewanie gorącej wody do 40° C. trwająca 10 minut. Potem stosuje się chłodne zawijania. Taki okład ma leżeć na chorym koło godziny. Zażyć zaraz z początku kilka kropli kamfory na cukrze, pić herbatę z krwawnika, bzu, rumianku.

KRONIKA.

Od Administracji. Do następnego 51 numeru „Roli“ dołączymy czeki wszystkim naszym Prenumeratorom.

Z Sejmu. W ubiegły czwartek i piątek odbyły się dwa posiedzenia Sejmu w Warszawie, na których przyszło do pierwszej rozgrywki pomiędzy rządem a opozycją. Zaraz na pierwszem posiedzeniu opozycja zgłosiła wniosek o wyrażenie wotum nieufności obecnemu rządowi, który kieruje państwem w myśl życzeń Marszałka Piłsudskiego. Pomimo, że z góry było wiadome, iż wniosek taki zostanie uchwalony, gdyż opozycja posiada większość w Sejmie, ministrowie przemawiali, starając się przekonać posłów, że obalenie rządu nie doprowadzi do żadnego celu, gdyż kraj nie może popaść w anarchję, a ci, co rząd chcą obalić, nowego, a tembardziej lepszego utworzyć nie potrafią. Przemawiali ministrowie: Świtalski, Matuszewski, Car, Kwiatkowski, Składkowski i Zaleski, wykazując, ile dla Polski dobrego zrobiły rządy, które rządziły państwem po przewrocie majowym. Posłowie słuchali tych przemówień spokojnie i zapewne w duchu przyznawali im słuszność, ale w rezultacie gdy przyszło do głosowania, wniosek o wyrażenie rządowi nieufności uzyskał znaczną większość. Głosowali za nim i narodowi demokraci wraz ze socjalistami, i „Piastowcy“ wraz z komunistami, i chrześcijańska demokracja razem z żydami i Niemcami, głosowali za nim Wyzwoleńcy i Stronnictwo chłopskie, za wnioskiem też oświadczyli się Rusini i Białorusini. Razem przeciw rządowi było 246 głosów, za rządem 120. (Sejm liczy 444 posłów, gdzież się ich podziało 78? Czy zadarmo pieniądze biorą?) Tak tedy w myśl konstytucji rząd został obalony.

Ale co dalej? Na to pytanie, gdy te słowa piszemy, trudno odpowiedzieć. Zachodzą w myśl dotychczasowej konstytucji trzy możliwości: Pierwsza: rozwiązanie Sejmu. Pan Prezydent nie może tego uczynić, gdyż obecny Sejm powinien uchwalić zmianę konstytucji, która jest zła. Gdyby tego nie uczynił Sejm obecny, mógłby to uczynić dopiero Sejm za lat 25. Druga możliwość: Pan Prezydent powierza utworzenie nowego rządu dotychczasowej opozycji. Toby się jednak na nic nie zdało, bo ci, którzy mieli siłę obecny rząd obalić, nie mają jej, aby nowy utworzyć. Trudno bowiem przypuścić, aby stronnictwa chłopskie szły ręka w rękę z komunistami, lub narodowa demokracja z Niemcami i żydami i t. p. Najprawdopodobniejsza jest trzecia możliwość, że Pan Prezydent powoła rząd taki sam, jaki był dotychczas, to jest rząd, działający w myśl wskazań Marszałka Piłsudskiego. Ale wówczas należy zapytać: Czy potrzebne były te wszystkię awantury, jakich byliśmy świadkami w ostatnich czasach? Jak dotychczas zdaje się, że zajdzie ta trzecia możliwość. Gabinet Dra Świtalskiego podał się wprawdzie do dymisji, ale Pan Prezydent powierzył mu dalej urzędowanie, póki nowy rząd nie zostanie utworzony. Potrwa to zapewne czas dłuższy, a i potem, jak można przypuszczać, wielu z obecnych ministrów i w nowym rządzie pozostanie.

Poraniony nożem. Jakób Chlawinka, leśniczy z Ciężkowic (pow. Chrzanów), w nocy znalazł na drodze swego służącego Józefa Stanka, leżącego na ziemi i poranionego nożem. Dochodzenia przeprowadzone ujawniły sprawcę w osobie Franciszka Chechelskiego (lat 29) z Ciężkowic. Tło czynu na razie nieustalone. Sprawca został zatrzymany. Rannego przewieziono do szpitala w Jaworznie. Dalsze dochodzenia w toku.

Ofiary „wesołych zabaw“. Doniesiono do Krakowa, że w czasie zabawy, urządzonej we własnym domu postrzelił Roman Homar, lat 39, restaurator w Lipniku pow. Bialski w czasie kłótni Rudolfa Stańca. Powód do strzelaniny był ten, że Staniec wraz z niejakim Józefem Wawakiem i Emilem Madejem zdemolowali lokal restauracyjny Homara. — W czasie zabawy weselnej u Jana Kuternaka w Sosnowicach w pow. wadowickim powstała między parobczakami bójka, w czasie której rannych zostało kilku parobczaków. Dochodzenia wykazały, że Jan Glęk, lat 24, z Sosnowic, poranił nożem szewskim w szyję Jana Walę, w rękę Józefa Walę i w głowę Józefa Kuternaka. W czasie bójki odniósł również Glęk uszkodzenia cielesne.

Napad na wóz pocztowy. Z Rzeszowa donoszą: Na wiozącego pocztę ze stacji Wesoła w pow. rzeszowskim napadł bandyta, który do wiozącego pocztowca, Tworzyły, dał trzy strzały. Jedna kula raniła Tworzyłę ciężko, tak, że stracił przytomność. Wówczas bandyta zabrał z wozu worki, listy oraz paczkę z pieniądzmi. Wtem nadjechały furmanki chłopskie. Chłopi, widząc co się dzieje, podnieśli alarm, poczem rozpoczęli pościg za uciekającym bandytą. W chwili, gdy mieli go doścignąć, ten, nie chcąc dać ująć się żywcem, strzelił do siebie, śmiertelnie się raniąc. Zawezwana policja stwierdziła, że jest to znany złodziej, Józef Tog, Rusin. Stan jego jest beznadziejny.

Zabójstwo na zabawie. W nocy z 1 na 2 b. m. w czasie zabawy w lokalu Związku Strzeleckiego w Borysławiu wynikła sprzeczka, a następnie bójka między 25 letnim Mieczysławem Olejarskim a Józefem Brzezińskim, liczącym lat 21. Tragicznym był wynik zatargu. Pchnięty nożem w szyję Olejarski wyzionął ducha po 15-minutowych męczarniach. Natychmiastowa pomoc okazała się bezskuteczną. Sprawcę czynu policja aresztowała i oddała do dyspozycji władz sądowych w Drohobyczu.

Wyrok na „arcybiskupa“ marjawickiego. Przed sądem apelacyjnym w Warszawie toczył się w ubiegłym tygodniu proces w głośnej sprawie „arcybiskupa“ marjawickiego Kowalskiego o czyny niemoralne, jakich dopuszczał się z wychowankami zakonu. Rozprawa była tajna. Przesłuchano wielu świadków, poczem sąd przyszedł do przekonania, że Kowalski rzeczywiście owych czynów się dopuszczał, wskutek czego zatwierdził karę 4 lat więzienia, wyznaczoną dlań w pierwszym procesie w Płocku.

Upadek marjawityzmu. Ze wszystkich dawnych ośrodków marjawickich dochodzą wieści o postępującym rozkładzie sekty. Ludzie występują z kościoła marjawickiego, albo poprostu obojętnieją, usuwając się od nabożeństw i praktyk religijnych. Obecnie już tylko w Płocku, Zgierzu i paru innych punktach znajdują się silniejsze kolonje wyznawców nauki „mateczki“ Kozłowskiej. Wraz z ubytkiem wiernych, materjalna sytuacja zakładów, instytucyj i kościołów marjawickich staje się krytyczną. Sądy cywilne otrzymują w ostatnich czasach coraz więcej skarg z powodu niepłacenia należności wekslowych przez przywódców gmin marjawickich. Proces „arcybiskupa“ oczywiście nie przyczyni się do podniesienia powagi duchowieństwa marjawickiego.

Cudowne lekarstwo. W Zaduszki deszcz lał w Warszawie od rana jak z cebra i rozwiał nadzieję żebraków na zrobienie jakiego takiego interesu. Komuby się chciało w taką pogodę wyjmować rękę z kieszeni bez gwałtownej potrzeby. Ksawery Strzelecki przybył z Mińska Mazowieckiego z pewnem opóźnieniem wobec czego przypadło mu w udziale kiepskie miejsce pod cmentarzem. Stał, moknąc na deszczu, z zawieszoną tabliczką na piersiach: „Ociemniałemu choć grosik!“ w czarnych

okularach z pustą blaszanką od sardynek w drżącej ręce i od czasu do czasu cichym głosem zawodził:

— Na kawałek chleba prosi nieszczęśliwy.

Parę razy brzękła blaszanka i Strzelecki zgarniał wprawnym ruchem monety do kieszeni. Aż tu nagle stała się rzecz dziwna: do pudełka, sądząc z dźwięku, wpadały monety, a ręka szukająca ich trafiała na puste dno blaszanki. Trwało to przez dobrych kilka minut. W pewnej chwili niewidomy usłyszał stłumiony śmiech... nad sobą. Błyskawicznym ruchem zdjął okulary, schował blaszankę do kieszeni i zadarł głowę do góry. I stał się cud! Ślepy ujrzał. Widział mianowicie siedzącego na murze cmentarnym chłopca, który trzymał w ręku sznurek z uwiązanym na końcu guzikiem. Ten guzik właśnie wpadał kilkakrotnie do pudełka, poczem podrywany z powrotem, uciekał do góry. Publiczność miała za chwilę widok niecodzienny: żebrak w starym podartym meloniku, z kijem w ręce i tabliczką na piersiach gonił uciekającego chłopca, wykrzykując groźne przekleństwa. Już, już byłby go dosięgnął i wymierzył karę, gdyby nie wtrącił się do pościgu posterunkowy, który żebraka zatrzymał i odprowadził do komisarjatu.

Nieludzki ojciec. Wieś Popowo w pow. janowskim była ostatnio widownią ohydnego zajścia. Oto Wincenty Wiśniewski zaczął się znęcać w okrutny sposób nad swoim umysłowo chorym synem Franciszkiem. Na krzyk i jęki nieszczęśliwej ofiary, katowanej na podwórzu sztabą żelazną, zbiegli się sąsiedzi. Wówczas Wiśniewski zaciągnął okrwawionego syna do izby i tam zakuł mu ręce w łańcuchy i dalej się nad nim znęcał. Dopiero zaalarmowany kierownik szkoły p. Praczyński nadbiegł i wyrwawszy z rąk rozwścieczonego ojca kalekę, zaprowadził go do swego mieszkania, gdzie obcęgami rozkuł łańcuchy i opatrzył rany. Posterunek policji w Annopolu rozpoczął dochodzenia w tej sprawie.

Ogólny płacz na zabawie. Podczas odbywającej się zabawy w Budzyniu, pow. Chodzież, zdarzył się niezwykle ciekawy wypadek. W pewnej chwili uczestnicy zabawy poczęli gwałtownie płakać. Okazało się, że przyczyną tego masowego płaczu był niejaki Jaruchowski, który nie mogąc dostać się na zabawę, z zemsty wylał w lokalu płyn łzawiący. Zabawę musiano przerwać. Przeciwko Jaruchowskiemu wdrożono dochodzenia.

Masowy mord. Z Poznania donoszą: Ogólne poruszenie wywołała wiadomość o masowym mordzie, dokonanym na rodzinie gospodarza Koniecznego w Pieruszycach, pow. pleszewskiego. Tło zbrodni przedstawia się, jak następuje: Czesław Konieczny pragnął ożenić się z siostrą nauczyciela Szurmy w Pieruszycach, na związek ten jednak nie godziła się jego rodzina i na tem tle dochodziło do częstych zatargów między Czesławem a matką i resztą rodzeństwa. W czasie kłótni Czesław często odgrażał się, że jeśli nie pozwolą ożenić się mu, to popamiętają. Swej groźby dokonał w sposób mrożący krew w żyłach. Oto, gdy rodzeństwo pogrążone było w głębokim śnie, Czesław, chwyciwszy siekierę, rzucił się najpierw na matkę, 48-letnią Marję i jednem cięciem siekiery położył ją trupem na miejscu. Następnie z błyskawiczną szybkością dokonywał jednego mordu po drugiem. I tak pod razami siekiery legł najpierw brat Michał lat 22, następnie Jan, lat 24 oraz Stefan, lat 15, dalej siostra Marja, lat 18 i wreszcie 7-letnia Leokadja. W czasie dokonywania tego bestjalskiego mordu obudził się 20 letni brat Stanisław, który rzucił się natychmiast do ucieczki, potworny morderca dopadł go jednak i zranił bardzo poważnie uderzeniem siekiery tak, iż w stanie beznadziejnym przewieziono go do szpitala. Mordercę ujęto i skutego odtransportowano do aresztu śledczego w Pleszewie.

Rozszarpany przez niedźwiedzia. W tych dniach udał się właściciel Sandor Kibedi z okolicy Marosvasarhely na Węgrzech ze swoim kilkunastoletnim synem do lasu w celu rąbania drzew. W pewnej chwili wyłoniło się z gęstwiny kilka niedźwiedzi, z których jeden z groźnym pomrukiem skierował się na syna. Ten przerażony chwycił za siekierę i zadał zwierzęciu silny cios. Rozwścieczony zwierz powalił go jednak na ziemię.



Stanąwszy w obronie syna ojciec pochwycił strzelbę i oddał do okrutnego zwierza strzał, który go tylko zranił, a zostawiwszy swą ofiarę na ziemi, rzucił się na ojca, który straszliwie podrapany zdołał umknąć opodal. Niedźwiedź następnie podbiegł do dźwigającego się ze ziemi syna, a uniósłszy się na tylne łapy, objął go w straszliwym uścisku. Ojciec, który musiał być z oddali świadkiem okrutnej śmierci syna, doznał tak silnego wstrząsu, że musiano go umieścić w szpitalu. Nieszczęśliwy zdradza objawy rozstroju umysłowego.

Wstrząsająca scena w banku. Berlińskie gazety donoszą o wstrząsającym wypadku, jaki miał miejsce w banku firmy Lissner i Spółka w Berlinie. Właściciel banku rozmawiał właśnie z klijentem, gdy nagle wszedł jakiś młody człowiek. Twarz poniżej oczu osłaniała chustka czerwona, tworząc jakby maskę. Stanął przed bankierem i z lufą pistoletu wycelowaną w pierś jego, zawołał:

— Dawać pieniądze, bo strzelę!

Bankier nie stracił przytomności umysłu i odpowiedział:

— Strzelaj pan, a pieniędzy i tak nie otrzymasz.

Klijent pobiegł do telefonu, by wezwać policję na pomoc W międzyczasie ów młody człowiek zrozumiał, że jego napad nie wywołał zamierzonego efektu.

— Jeśli nie otrzymam pieniędzy, w takim razie muszę się zastrzelić.

To mówiąc, przyłożył broń do skroni, nacisnął i rozległ się strzał.

Za chwilę już nie żył. Nie znaleziono przy nim żadnych osobistych dokumentów. Robił pozatem wrażenie obcokrajowca.

Potworne samobójstwo. Wstrząsająca i pełna grozy tragedja rozegrała się w słynnem niemieckiem więzieniu karnem w Sonnenburgu. Ofiarą tego niebywałego wypadku padł 30 letni Polak, Ratajczak, skazany w r. 1923 pod zarzutem zbrodni rabunkowej na 15 lat więzienia. Ratajczak mimo surowego wyroku, nie stracił początkowo równowagi ducha i nawet postanowił czas spędzany w więzieniu wyzyskać dla nauki języka francuskiego. Od r. 1928, t. j. od chwili przeniesienia go do więzienia w Sonnenburgu, Ratajczak począł zdradzać objawy obłędu. Nareszcie w czasie pauzy obiadowej wślizgnął się do warsztatu introligatorskiego i wprawiwszy w ruch elektryczną maszynę do przecinania papieru, wsadził głowę pod ostrze noża. Rozległ się wstrzą-

sający krzyk. Więźniowie, którzy wpadli do warsztatu, ujrzeli już tylko odciętą głowę Ratajczaka i buchający krwią kadłub.

Ze sceny na ambonę. Niezwykłą sensację wywołał w Zagrzebiu fakt, iż tenor operowy Svizanović, który przez 25 lat był ulubieńcem publiczności zagrzebskiej i jednym z najlepszych wykonawców chorwackich pieśni ludowych, opuścił deski sceniczne bezpośrednio po swym jubileuszu. Svizanović zamierza poświęcić się zawodowi kapłańskiemu, aby móc z ambony działać umoralniająco na swych rodaków.

Państwo bez cmentarza. Szczęśliwem byłoby państwo, które nie potrzebowałoby cmentarza. Niestety, ludzi żyjących wiecznie jeszcze niema na kuli ziemskiej, pomimo to jednak powstało niedawno państwo, które faktycznie cmentarza nie posiada. Wyjątkowem tem państwem jest nowe państwo Watykańskie, utworzone na mocy układu Laterańskiego w lutym b. r. Państwo to posiada już własną pocztę, własną centralę telefoniczną, własne pieniądze i budowany jest gorliwie własny jego dworzec kolejowy, ale cmentarza nie ma. Uświadomiono sobie to teraz, gdy pierwsza osoba pożegnała się z tym światem w obrębie państwa Watykańskiego. Jest nią 70-letnia Teresa Desantis. I oto trzeba było pochować ją na cmentarzu „zagranicznym" rzymskim, bo w państwie Watykańskiem miejsca na to nie było. Wobec tego powstał projekt wydzielenia pewnego zakątka nowego państwa na miejsce wiecznego spoczynku dla jego obywateli.

Straszny los więźniów politycznych w Rosji. Jak opowiadają zbiegowie, którzy schronili się do Finlandji, na wyspach Sołowieckich na morzu Polarnem znajduje się w obecnej chwili 45 tysięcy więźniów, w tem przeszło 1 000 kobiet. Są to przeważnie więźniowie polityczni, skazani co najmniej na 15 lat więzienia, większość zaś skazana jest na więzienie dożywotnie. Los tych ostatnich ze względu na panujący głód jest straszny. Wszyscy więźniowie otrzymują zaledwie po 300 gramów chleba. Straż więzienia stanowi przeszło 2.000 policjantów.

Kolorowe bruki w Anglji. W kilku miastach angielskich dokonano ostatnio ciekawych eksperymentów w zakresie brukowania ulic, wprowadzając zamiast dotychczasowych jednolicie szarych bruków — bruki kolorowe. W tym celu do betonu w czasie jego fabrykacji dodaje się specjalnych farb, najczęściej jasno - zielonych lub niebieskich. Kolorowe bruki okazały się podobno bardzo pożyteczną inowacją, podnosząc estetyczny wygląd ulic i urozmaicając szare dotychczas tło życia ulicznego.

Atak szarańczy na miasto. Z Afryki północnej donoszą, że chmura szarańczy, mająca długości 25 mil angielskich, czyli 40 kilometrów, zwaliła się na południową stolicę Marokka, to jest na miasto Marakesz. W mieście tem najpierw zaćmiło się słońce od lotu miljonów tych owadów, a w niespełna godzinę całe miasto i wszystkie okoliczne ogrody zabarwiły się na czerwono od opadłej szarańczy. Drogi, drzewa i domy były pokryte grubą i ruchomą, pełzającą masą. Wobec tej klęski ludność była bezsilna i bezradna, ale władze francuskie wzięły akcję w swoje ręce. Dawniej niszczono szarańczę po prostu w ten sposób, że wypędzano bydło, żeby ją tratowało i świnie, żeby się na nich tuczyły. Dzisiejsze środki są o wiele skuteczniejsze, a stosuje się w nich ostatnie zdobycze minionej wojny. Wypuszcza się więc przeciw szarańczy gazy trujące i miotacze ognia. W Marakeszu naturalnie tego zrobić nie było można, więc przedewszystkiem zgarniano owady we worki, których zużyto 13 tysięcy. Zniszczone szarańcze służą na nawóz, a nadto Arabawie chętnie zabierają je do domu, ażeby wypiekać z suszonej i mielonej szarańczy chleb, który, ich zdaniem, jest bardzo smaczny.

Mrozy i śniegi w Ameryce. Jak donoszą gazety codzienne, fala mrozów w północnych i środkowych stanach Ameryki Północnej wzmaga się coraz bardziej, dając się niezwykle dokuczliwie we znaki ludności. Nad olbrzymiemi połaciami szaleją śnieżyce, przyczem spadły olbrzymie masy śniegu. W Chicago zmarzło podobno na śmierć 60 osób.

Niezwykłe wypadki na grobie kapłana. Przed 60 laty zmarł w Bostonie w Ameryce świątobliwy ksiądz nazwiskiem Patryk Powers. Grób jego stał się od kilku tygodni celem pielgrzymek i gromadzenia się dziesiątków tysięcy pobożnych i ciekawych. Powodem tego jest kilkanaście niezwykłych uzdrowień ślepoty, głuchoty, niemoty i paraliżu, których doznało kilkanaście osób, a wśród nich dzieci i nawet protestanci. Przed grobem defilują dziennie setki kalek i chorych. Ostatnio odwiedził grób ten w charakterze prywatnym również kardynał bostoński O'Connel. W czasie przybycia kardynała na cmentarzu i poza nim obecnych było około 30 tysięcy osób. W ciągu dwu dni przeszło tu podobno blisko 200.000 ludzi. Porządku niczem dotąd nie zakłócono. Władze duchowne w sprawie tej nie wypowiedziały się dotychczas, przyjmując stanowisko bacznego obserwatora.

Tragiczne zakończenie ślubu w przestworzach. Jak wiadomo, Amerykanie są nienasyceni w swej żądzy sensacyjnych nowości. Oto w tych dniach pewna młoda para, mechanik Donald Babzock i telefonistka Mariory Klinger, chciała dokonać ślubu i podróży weselnej w aeroplanie. Krążąc nad placem lotniczym pod Nowym Jorkiem, wzięli oni nasamprzód ślub, następnie tak młoda para, jak i goście weselni mieli zapomocą spadochronu zeskoczyć na ziemię. Jako pierwsza zeskoczyła z aeroplanu młoda małżonka, spadochron jednakże nie otworzył się Spadła z wysokości 300 metrów i zabiła się na miejscu. Młody małżonek tak samo zabił się, jeden z gości weselnych ciężko się poranił. Wobec takiego nieszczęśliwego wyniku eksperymentu, 11 dalszych gości weselnych zaniechało zamiaru dostania się na ziemię zapomocą spadochronu.

„Nowoczesny" sposób samobójstwa. Zamożna 20-letnia Amerykanka Ruth Rockwell, należąca do najwybitniejszych sfer towarzyskich Filadelfji, wynajęła sobie samolot i poleciła pilotowi krążyć ponad Nowym Jorkiem. Kiedy samolot dosięgnął 700 metrów wysokości, pasażerka otworzyła drzwi kabiny i wyskoczyła, zabijając się na miejscu. Denatka pozostawiła w kabinie karteczkę z notatką, że życie jej się znudziło. Pisma amerykańskie zaznaczają, iż jest to pierwszy wypadek samobójstwa, dokonanego z samolotu.

Pięć rozwodów w ciągu 20 minut. O łatwości, z jaką uzyskuje się rozwód w Stanach Zjednoczonych i o poważnej liczbie osób, którym małżeństwo już dokuczyło, świadczy dosadnie swego rodzaju rekord, jaki osiągnął burmistrz miasta Reno, który w ciągu zaledwie dwudziestu minut zdążył udzielić rozwodu pięciu niedobranym małżeństwom.

Córka miljonera zakonnicą. Jedyna córka amerykańskiego „króla" stali" Charlesa Schwaba, ciesząca się wielkiem powodzeniem w kołach finansjery nowojorskiej, wstąpiła niedawno — zupełnie niespodziewanie dla otoczenia — do klasztoru Karmelitanek Bosych w Greensburgu. Jest to już trzeci fakt, w ciągu ostatnich lat, wstąpienia córki miljonera amerykańskiego do klasztoru.

RZECZY CIEKAWE.

Jak powstały astry?

O powstaniu astrów, tych pięknych różnobarwnych kwiatów jesieni, istnieje wzruszająca legenda.

Gdy Jezus jeszcze chodził po ziemi, Bóg często wysyłał aniołów z nieba na ziemię, aby się bawili ze św. Dzieciątkiem i z innemi dobremi dziećmi w Nazarecie. Pewnego razu Jan, później ulubiony uczeń Zbawiciela, udał się z przyjacielem z nieba zesłanym do ogrodu pełnego kwiatów. Wieczór się zbliżał i anioł oświadczył, że musi udać się na spoczynek.

— A gdzie ty mieszkasz — zapytał Jan.

— Tam wysoko wśród gwiazd — odparł anioł.

— Ach, jakże tam musi być pięknie — rzekł Jan i zaczął szybko zrywać kwiaty, aby z nich zrobić wiązankę, którą anioł miał zanieść swym towarzyszom do nieba. Prosił go jednak, aby mu przyniósł wiązankę z kwiatów niebieskich.

— Kwiatów mamy wiele — odparł anioł, ale nie mogę ci ich przynieść. Czy widzisz te gwiazdy, które błyszczą na niebie, to są nasze kwiaty. Ale one rosną nie w ziemi, ale wykwitają z błękitnego eteru. A piękność swoją czerpią nie z wody i promieni słonecznych, ale ze światła wzroku bożego. Tych kwiatów przynieść ci nie mogę, ale mogę ci tylko ofiarować pyłek słoneczny.

Następnego poranka anioł przyniósł małemu Janowi odrobinę słonecznego pyłku. Chłopiec pyłek ten troskliwie zasadził w swym ogrodzie. W jesieni wyrosły z tego niebieskiego nasienia piękne, kolorowe kwiaty, które mają tak wokół koronę kwiatków jak gwiazdy promienie. I noszą nazwę astrów.

Nazwy miesięcy w dawnej Polsce.

Nie wiemy zgoła, gdzie i kiedy u nas zastąpiono łacińskie nazwy miesięcy polskiemi. To tylko pewna, że kalendarze z początku w. XVI., obok łacińskich, podają i polskie, z małą różnicą takież same, jakich dzisiaj używamy.

Zabytki rękopiśmienne z imionami miesięcy sięgają nie dalej jak wieku XIV; są w nich niektóre nazwy odmienne od zwykłych, i te poniżej podajemy. — A więc styczeń nazywano tyczeń, luty — strąpacz, marzec (bez zmian), kwiecień — łżykwiat, maj — maj, czerwiec — ugornik albo ZOK, lipiec — lipień, sierpień — sirpień albo czyrwień, wrzesień — stojęczeń, październik — winnik, listopad — grudzień, zaś grudzień — proschyem.

W powieściach gminnych miesiące występują rozmaicie; w jednych widać dążenie do wyjaśnienia krótkości lutego przez kłótnię albo przez pożyczkę dnia; w innych znowu, niepospolicie pięknych, miesiące ukazują się uosobione w postaci starców i wyświadczają dobrodziejstwo dziewczętom, które umieją uszanować sędziwość.

Wyraz miesiąc, jako nazwa księżyca, był używany dawniej przez cały naród zarówno. Od XVIII zaś wieku jest nazwą zachowawywaną głównie przez lud, gdyż w języku książkowym i warstw wyższych zyskał sobie monopol księżyc. Tu nadmienić potrzeba, że wyraz miesiąc ma związek językowy z mierzeniem czasu, a księżyc z wyrazem ksiądz, który w mowie polskiej z doby Piastów znaczył to, co dziś monarcha, książę panujący. Takim monarchą czyli księdzem na niebie było słońce, a księżycem — miesiąc.

Dlaczego ziewamy?

Nieraz przy silnem wyczerpaniu organizmu pragniemy być „uprzejmi i dobrze wychowani“, unikamy też ziewania za wszelką cenę, chociaż towarzystwo nas męczy niezmiernie, a w opowiadaniu nie słyszymy nic ciekawego. Udaje się nam to z wielkim trudem, a dlaczego? Bo ziewnięcie jest ratowaniem się naszego organizmu przed brakiem powietrza.

Naogół oddech normalny dostarcza tego powietrza poddostatkiem, ale gdy bardziej pracowaliśmy, niż zwykle, gdy źle spaliśmy i t. p., wtedy krwi naszej brak jest tlenu lub też nie dopływa ona w należytej ilości do mózgu. Jednym na to warunkiem jest szybkie dostarczenie większej ilości tlenu z powietrza przez silny oddech, bo ziewnięcie jest niczem innem, tylko właśnie oddechem.

Znajdowanie się w złych warunkach higjenicznych bardzo się przyczynia do wywoływania poziewań, co łatwo stwierdzimy, gdy trafimy do źle lub wcale nieprzewietrzanego lokalu. Ziewanie występuje jako objaw chorobowy przy wielu chorobach, towarzyszy silnej gorączce, złemu stanowi żołądka, przy histerji, często jednak jest ono jedynie dowodem nerwowości i bywa wywołane patrzeniem na kogoś ziewającego.

Elektryczne karmienie ryb.

Bardzo dowcipny wynalazek zastosowano w jednem z miast Półn. Ameryki. Otóż w publicznym parku znajduje się staw pełen ryb. Tym postanowiono ułatwić zdobywanie pożywienia. Zainstalowano bezpośrednio nad powierzchnią wody szereg lampek elektrycznych, otoczonych, drobnym wodotryskiem, wyglądających, jak świetlne strugi wody. Nocne owady przyciągnięte światłem, zbliżają się do tego wodotrysku i strącone siłą wody, spadają do stawu, stając się zdobyczą czekających na nie rybek.

Nowocześni pustelnicy.

W dawnych czasach pustelnik nie był zjawiskiem niezwykłem. Wielu było tych ludzi, co rezygnując ze wszelkich wygód i radości ziemskich, udawali się w nieznane pustelnie, do lasów dziewiczych, lub w góry niedostępne, by tam w ciszy i zupełnem osamotnieniu walczyć z szatanem złego i przygotować sobie królestwo niebieskie. Dziś próżno byśmy takich pustelników szukali, czasy się zmieniły, — zmienili się i ludzie. Szalony rozwój techniki, najrozmaitsze wygody, o których jeszcze przed stu laty nikomu się nie śniło, ludzi do tego stopnia oddaliły od pierwotnego trybu życia, że niktby się dziś nie odważył odchodzić w strony nieznane i od wszelkiej kultury cywilizacji nowoczesnej odcięte, gdzie niema ani elektryczności, ani radja, ani... polityki, by tam zdala od świata całego pędzić żywot pustelniczy. A jednak znaleźli się dwaj tacy ludzie. Są nimi wybitni uczeni amerykańscy: M. F. Seeley i M. Hoover, którzy postanowili przez trzy lata prowadzić żywot pustelniczy na Przylądku Dobrej Nadziei. Trzeba jednak stwierdzić, że do przedsięwzięcia tego nie skłoniła ich pobożność, lecz żądza wiedzy; obaj uczeni zamierzają bowiem na przylądku Dobrej Nadziei dokonać szeregu ciekawych i doniosłych obserwacji astronomicznych. Przybyli oni do swej pustelni zaopatrzeni w bogaty materjał naukowy, w postaci najrozmaitszych instrumentów mierniczych oraz w skromne zapasy najele-

mentarniejszych artykułów spożywczych. Będą oni przez trzy lata nie tylko odcięci od całego świata kulturalnego, lecz ponadto skazani na zupełny brak najprymitywniejszych wygód cywilizacji. Ale dla fanatyków nauki, jakiemi są obaj uczeni, jak widać, nie odgrywa to żadnej roli.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Franciszek Surówka** w K.: Obydwa utwory są bardzo dobre, jednak wolelibyśmy, aby np. taka „Siostra" była napisana więcej przystępnie dla naszych Czytelników. Nie każdy bowiem odgadnie głęboką myśl, jaka w niej się mieści. — **Józef Kapuściński** w L.: Nowele przeznaczamy do prac konkursowych, wiersze zaś wyłączamy z konkursu, gdyż konkurs ich nie obejmował. Z „Nowym Rokiem" zamieścimy w numerze noworocznym, drugi później. — **Marjan Wietrzny** w L.: Z zagadek skorzystamy. — **Karol Syposz** w R.: Treść nadesłanych wierszyków miła, ale forma jeszcze niewyrobiona. — **Jan Czeluśniak** w W.: Obecny konkurs trwa, jak to było zaznaczone, do 15 grudnia. Jeżeli i po tym czasie ktoś jeszcze nadeśle, to uwzględnimy, gdyż rozstrzygnięcie nastąpi dopiero po Nowym Roku. — **Jan Naprawa** w Rz.: O ile się rozchodzi o zrobienie Maćkowi jakiego podarunku, to on gotów i codziennie obchodzić imieniny. A jakby się „opłaciło", toby i imię zmienił. — **Piotr Pałkos** w O.: Nadesłany nam wiersz posiada myśl ładną, w formie w wielu miejscach poprawną, ale jeszcze tu i ówdzie nieco utyka. Gdyby był krótszy, po uzupełnienu pewnych braków możnaby go wydrukować, ale tak, jak jest, jest on o wiele dla nas zadługi. — **Władysław Mirek** w N.: Z nadesłanych nam drobiazgów skorzystamy. — **Jan Majewski** w K.: Pracę konkursową otrzymaliśmy. — **Henryk Kuczaj** w L.: Maciuś za pamięć dziękuje. Powiada, że gdyby tak wszyscy Czytelnicy „Roli" o nim pamiętali, byłby zupełnie szczęśliwy. — **Stałe Czytelniczki „Roli" w Krzeszowicach:** Prosimy powiedzieć nam, z kim djabeł trzyma: czy z dobremi, czy ze złemi? Jeżeli wygrzmocił Maćka, jak panienki twierdzą, to widocznie Maciek nie zasługuje na miłość djabła. No a reszty można się domyślić. Ale to nic, Maciuś i tak dziewuszki kocha, i kochał będzie, choć one jeszcze niejedną i większą baję na niego puściły. Bo to już tak jest na tym Bożym świecie, że psioczy się na te mikrne stworzenia a na koniec świata leciałoby się za niemi. — **Juljan Kwolek** w W.: Wierszy na konkurs nie przyjmujemy. Nadesłane wierszyki w treści swej są bardzo miłe i na czasie, ale forma jeszcze niewyrobiona. Rymy tu i ówdzie utykają. Każdy utwór przed przesłaniem do druku należy starannie opracować i usterki usunąć. — **Maryla „Widz"** w O.: Wierszyki otrzymaliśmy. Łączymy pozdrowienia. — **Fr. Macioł** w S. B.: Za tak wydatne poparcie serdecznie dziękujemy. — **Marja Wawrzykówna** w P.: Prace konkursowe otrzymaliśmy. — **Honorata Kubkowa** w G.: Kalendarz wysłaliśmy 9 grudnia, również i dwa brakujące numera „Roli". Wzajemnie pozdrawiamy Panią. — **Z. Karpińska** w K.: Za przesłane 1.25 zł. posyłać będziemy „Rolę" od Nr. 50, bo Pani nie napisała czy posyła na numera zaległe. Za pochwały dla „Roli" dziękujemy. — **Jan Masny** w P.: Kółko Rolnicze dostanie rabat taki sam jaki otrzymują wszystkie agencje i sklepy w Polsce za komisową sprzedaż „Roli" i przy każdym rachunku należny rabat potrącamy. Cześć. — **Antoni St. Szymański** w H.: Prace konkursowe otrzymaliśmy, o wartości ich możemy dopiero coś powiedzieć po rozstrzygnięciu konkursu. — **Józef Rusnak** w M.: i **Stanisław Cebula:** Prace na konkurs nadeszły.

Unieważniam książeczkę wojskową na nazwisko Michał Kuroz ze Smarzowej powiat Pilzno, urodzony w r. 1905, wydaną przez P. K. U. Rzeszów.

Zagadki do nagrody.

1. Arytmograf magiczny.

(Ułożył A. St. B.).

		1	8	8		
		2	7	4		
1	2	3	4	5	6	7
8	7	4	9	7	10	11
8	4	5	7	12	12	7
		6	10	12		
		7	11	7		

Zamiast liczb wstawić litery. Rzędy pionowe i poziome dadzą: miasteczko, góry, kraj.

2. Szarady.

(Ułożył Piotr Leśniak z M.).

I.

Kto chowa drugiego — pierwszego,
Zmyślnego zwierza domowego,
Ten mało ma korzyści z niego.
Pierwszych — trzecich jest dosyć na Riwjerze,
Ja temu nie przeczę, ale całkiem wierzę.
Całość za Wisłą niewielka mieścina,
Kto chce odgadnąć, niech zaraz zaczyna.

II.

Drugiego — pierwszego znajdziesz zwykle w wodzie,
Lecz kogo trzeci zapędzi w bezbrzeżne pustynie,
Ten przeżywa chwile w niejednej przygodzie,
Iż zdaje się nieraz, że już całkiem zginie.
Gdy podróżnik zmęczony jest zadługą drogą,
Czasem staje przed oczy złuda piąta — czwarta,
Całość wódz turecki — książki opowiadać mogą,
Bo nieraz z nim była walka zbyt zażarta.

III.

(Ułożył Antoni St. Bassara).

Cała jestem, jak ten pączek
Nim rozbłyśnie w jasne kwiecie,
Choć do pracy nie mam rączek,
Lecz uściski ach znam przecie!...

Tysiące was pierwszych — drugich
Myśli moje wiecznie pali
W korowodach jasnych, długich,
Strojnych w jasny blask opali!
Pierwsza — trzecia w mojej chacie
Wonnych listów od was leży...
Lecz wy całe, wy nie macie
Serca w piersi dla młodzieży.
Was nie wabi mołość wrząca
Was pociąga dziś cel jeden,
Co krew w żyłach waszych trąca,
To małżeństwa tylko eden.
Waszą miłość dziś przykuła,
(Tak, to prawda jest najszczersza)
Komża księża, księża stuła
I ta księża trzecia — pierwsza.
Ale koniec! Mam ja radę,
Kiedy dziewczę piękne, młode
Dziś odgadnie tę szaradę,
Dam całusa za nagrodę.

3. Przestawianka.

(Ułożył Alfons Czader z S. W.).

Starosta nosi raki dla Norberta.

Z powyższego zdania ułożyć imię, nazwisko i zajęcie znanej osobistości w „Roli".

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 21 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 48 „Roli": 1. Logogryf: Sierakowski. 2. Szarady: I. Bałabajka. II. Zagadki. 3. Szarady literowe. I. Miłość. II. Słowacki. 4. Łamigłówka: I. Łaba-żaba. II. Korek-worek.

W oznaczonym czasie dobre rozwiązania nadesłali pp.: Jan Fratyn z G., Franciszek Niedbała z T., Karol Syposz z R., Jan Gara z W., Józef Kopacz z S., Józef Węgiel z C., Władysław Badura z P., Piotr Wenc z S., Józef Staniek z Z., Marjan Wietrzny z L., Edmund Markus z K., Józef Markus z K., Franciszek Macioł z S. B., Fr. Surówka z N.

Nagrody wylosowali pp.: Marjan Wietrzny z L. i Józef Staniek z Z.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Podczas poboru wojskowego.

— Jankiel Grojsbube!
— Jestem, a jekże...
— Piersi w obwodzie cali 40.
— Jakie czterdzieściy, ten pasek to jest gumalastyczne, ja niemogę tyle trzymać, bo mam bardzo galopujące suchoty.
— No, no, będziesz służył w wojsku.
— Ja w wojsku? Ja niemam czasu, bo słowo honoru ja muszę zaraz wyjść... tam na mnie czekają.
— Nic z tego nie będzie. Będziesz służył w piechocie.
— Ja z piechotą? panie starszy ja pana bardzo proszę nie rób pan te szykany, bo ja jestem taki delikatny, że nawet jak jadę z koleją to na każdej stacji muszę wichodżyć.
— Brać go!
— To niesprawidywie. Panowie jużeście tyle nabrali, że należy dać rabat hurtowny; ja idę do domu na rabat!...

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

w dniu 6 grudnia b. r

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 1·10 do 1·73 zł.	Jałownik	od 1·10 do 1·69 zł.
Woły . .	od 1·25 do 1·74 zł.	Cielęta .	od 1·81 do 2·74 zł.
Krowy .	od 0·80 do 1·55 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł
Nierogacizne	2·32 do 2·72 zł.	Nierogacizne bitej wagi	od 3·10 do 3 50

Giełda płodów rolniczych

z dnia 7 grudnia b. r.

Pszenica .	38·00—38 50	Słoma długa	8·50—9·50
Żyto .	26·00—26 50	Ziemniaki stoł.	5·40—6·50
Owies . .	21·00—21·50	Koniczyna nasienn. czer.	150·00—170·00
Jęczmień	22·00—23·00		